

"HE IS A MAPMAKER OF THE MIND, CHARTING THE FARTHEST REACHES OF THE IMAGINATION." —THE WASHINGTON TIMES

CLIVE BARRIKER



TAPPING THE VEIN

BOOK
FOUR

MADONNA

Jerry Coloqhoun czekał na Garveya już ponad trzydzieści pięć minut. Stał na schodach prowadzących do Zespołu Basenów przy Leopold Road i od pełznącego w górę przez podeszwy butów zimna stopniowo tracił czucie w stopach. Pocieszał się, że nadejdzie jeszcze czas, kiedy to na niego będą czekać. Właściwie, jeśli zdoła namówić Ezrę Garveya, żeby zainwestował w Pałac Uciech, przywilej ten może okazać się wcale nie taki odległy. Od dawna szukał kogoś, kto dysponowałby dużym kapitałem i byłby skłonny podjąć ryzyko; zapewniano go, że Garvey spełnia te warunki. Źródło, z którego pochodziły pieniądze, nie miało w tym wypadku znaczenia, a przynajmniej tak to sobie Jerry wytłumaczył. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy wielu przyjemniejszych plutokratów z miejsca odrzuciło jego projekt i w takiej sytuacji Jerry nie mógł sobie raczej pozwolić na delikatność uczuć.

Wcale go nie dziwiła niechęć inwestorów. Czasy były ciężkie i rzadko kto odważał się na ryzyko. Co więcej, przedstawienie sobie Zespołu Basenów jako lśniącego kompleksu rozrywkowego wymagało pewnej dozy wyobraźni - cechy niezbyt rozpowszechnionej wśród spotykanych przez Jerry'ego bogaczy. Jego informatorzy przekonali go jednak, że w takiej okolicy, gdzie całe pokolenie sybarytów z klas średnich wykupuje i remontuje budynki nieomal kwalifikujące się do wyburzenia, że w takiej właśnie okolicy zaplanowane przez niego centrum z pewnością przyniesie dochód.

Był jeszcze jeden plus. Rada, będąca właścicielem Zespołu Basenów, chciała się jak najszybciej pozbyć tej nieruchomości, bo nie mogła narzekać na brak dłużników. Człowiek z Wydziału Usług Publicznych, którego Jerry przekupił i który za dwie butelki ginu beztrudno zwędził klucze do budynku, powiedział mu, że jeśli oferta zostanie złożona szybko, gmach będzie można kupić za bezcen. Wszystko zależało od właściwej koordynacji.

W czym Garvey najwyraźniej nie był zbyt dobry. Gdy nareszcie się pojawił, nogi miał już Jerry zdrętwiałe do kolan, a jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Kiedy Garvey wysiadał z rovera, którym przywiózł go szofer, i wchodził po schodach, Jerry nie dał tego jednak po sobie poznać. Spodziewał się kogoś większego (rozmawiali tylko przez telefon), ale mimo miernej postury Garveya nie było wątpliwości co do jego potęgi. Wyzierała ze spojrzenia, jakim ocenił Coloqhouna, z jego smutnych rysów, z nieskazitelnego garnituru.

Podali sobie ręce.

- Miło pana widzieć, panie Garvey.

Facet skinął głową, ale nie odpowiedział na uprzejmość. Chcąc wreszcie schować się przed zimnem, Jerry otworzył drzwi i poprowadził Garveya do środka.

- Mam tylko dziesięć minut - powiedział Garvey.

- Świetnie - odparł Jerry. - Chciałem jedynie pokazać panu rozkład pomieszczeń.

- Rozejrzył się pan już tutaj?

- Oczywiście.

To było kłamstwo. Jerry zwiedził budynek w sierpniu, dzięki swojej wtyczce w Wydziale Architektury, a od tego czasu kilka razy oglądał go z zewnątrz. Odkąd przekroczył ten próg, upłynęło już pięć miesięcy - miał jednak nadzieję, że postępujący rozkład nie posunął się zbyt daleko. Weszli do westybulu. Pachniało wilgocią, ale nie zatykało.

- Nie ma prądu - wyjaśnił. - Musi nam wystarczyć latarka. Wyłowił z kieszeni mocną latarkę i skierował światło na wewnętrzne drzwi. Wisiała na nich kłódka. Jerry patrzył na nią w osłupieniu. Jeśli za ostatniej jego bytności już tu była, to tego nie pamiętał. Spróbował użyć jedyne go klucza, jaki dostał, wiedząc jeszcze przed włożeniem go do dziurki, że nie będzie pasował. Zaklął półgłosem, robiąc błyskawiczny przegląd możliwości. Albo zrobią z Garveyem w tył zwrot i zostawią Baseny

ich tajemnicom - jeśli można było tajemnicami nazwać pleśń, postępującą zgniliznę będący o włos od runięcia dach - albo spróbują się włamać. Rzucił okiem na Garveya, który wyjąwszy z wewnętrznej kieszeni marynarki ogromne cygaro, muskał jego koniec płomykiem. Zakłębił się aksamitny dym.

- Przepraszam za to opóźnienie - powiedział Jerry.

- Zdarza się - odparł Garvey, najwyraźniej nie zaniepokojony.

- Chyba wskazana byłaby taktyka siły - rzekł Jerry i czekał, jak Garvey zareaguje na ten pomysł z włamaniem.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Jerry szybko przeszukał ciemny westybul i w kasie znalazł stołek z metalowymi nóżkami. Niosąc go do drzwi czuł na sobie rozbawiony wzrok Garveya. Używając jednej z nóżek jako dźwigni złamał kabłąk kłódki. Spadła z hałasem na kafelkową podłogę.

- Sezamie, otwórz się - mruknął z zadowoleniem i pchnął drzwi otwierając je przed Garveyem.

Gdy przekraczali próg, dźwięk spadającej kłódki jeszcze rozbrzmiewał w opuszczonych korytarzach, cichnąc powoli - aż stał się tylko westchnieniem. W środku budynek prezentował się jeszcze mniej zachęcająco, niż Jerry pamiętał. Światło dzienne sączące się przez zapleśniałe szyby świetlików rozmieszczonych wzdłuż korytarza było błękitno szare i nierówne, a przy tym nie mniej ponure od wnętrza, do którego wpadało.

Kiedyś Baseny przy Leopold Road bez wątpienia były sztandarowym przykładem stylu eklektycznego, pełne lśniących kafelków i pomysłowych mozaik na podłogach i ścianach. Na pewno jednak nie za czasów Jerry'ego. Kafelki pod stopami wybrzuszyły się od wilgoci i poodpadały setkami ze ścian, zostawiając kratkę białej ceramiki i ciemnego tynku - jak jakąś ogromną krzyżówkę bez haseł. Wrażenie ruiny było tak przemożne, że Jerry już chciał

porzucić zamiar sprzedania swego pomysłu Garveyowi; uznał, że nie ma na to szans, nawet przy tej śmiesznie niskiej cenie obiektu. Wydawało się jednak, że Garvey jest bardziej zainteresowany, niż Jerry przypuszczał. Już maszerował korytarzem zaciągając się cygarem i mrużąc coś do siebie. Jerry czuł, że tylko niezdrowa ciekawość ciągnie inwestora w głąb tego rozbrzmiewającego echem gmaszyska. A jednak...

- Ten budynek ma w sobie coś i daje wiele możliwości - rzekł Garvey. - Nie cieszę się reputacją filantropa, Coloqhoun - na pewno pan o tym wie - ale gustuję w wyrafinowaniu.

Zatrzymał się przed mozaiką przedstawiającą jakąś nieokreśloną scenę mitologiczną

- baraszkujące ryby, nimfy i bogów morza. Mruknął coś z uznaniem, dublując kręte linie rysunku wilgotnym końcem cygara.

- Teraz nie widuje się już takiego kunsztu - skomentował. Jerry uważał mozaikę za nieciekawą, ale powiedział:

- Jest wspaniała.

- Proszę mi pokazać resztę.

Obiekt szczyił się niegdyś, oprócz dwóch basenów, mnóstwem innych atrakcji - łaźnia turecka, łaźnia parowa, sauna... Liczne pomieszczenia łączył labirynt przejść, które w odróżnieniu od głównego korytarza nie miały świetlików. Musiała tu wystarczyć latarka.

Ciemno czy nie, Garvey chciał zobaczyć wszystko. Dziesięć minut, które zgodnie ze swoją zapowiedzią mógł poświęcić Coloqhounowi, rozciągnęło się do dwudziestu, a potem do trzydziestu. Co krok odkrywał nowe źródła zachwyty. Jerry słuchał uwag Garveya z udawanym zrozumieniem, bo zupełnie nie pojmował jego entuzjazmu.

- Teraz chciałbym zobaczyć baseny - oświadczył Garvey, gdy dokładnie obejrzeliby pomieszczenia

towarzyszące.

Jerry ruszył bez słowa, by spełnić to żądanie. Kiedy szli korytarzykiem za łaźnią turecką, Garvey syknął:

- Cicho.

Jerry zatrzymał się.

- O co chodzi?

- Usłyszałem jakiś głos.

Jerry nadstawił uszu. Światło latarki rozbryzgujące się na kafelkach otaczało ich bladą poświatą, wysysającą krew z twarzy Garveya.

- Nie słyszę...

- Powiedziałem: cicho - warknął Garvey.

Powoli kręcił głową, Jerry nic nie słyszał. Garvey teraz już też nie. Wzruszył ramionami i zaciągnął się cygarem. Zgasło od wilgoci w powietrzu.

- To złudzenie - powiedział Jerry. - Echo może tu wprowadzić w błąd. Czasami po prostu wraca do człowieka stukot jego własnych kroków.

Garvey znów mruknął. Wydawało się, że to jego ulubiona odpowiedź.

- Ja naprawdę coś słyszałem - rzekł po chwili, najwyraźniej niezadowolony z wyjaśnienia Jerry'ego.

Znów zaczął nasłuchiwać. W korytarzach było tak cicho, że można by usłyszeć spadającą szpilkę. Nie dochodził nawet żaden odgłos ruchu ulicznego na Leopold Road. W

końcu Garvey rozchmurzył się.

- Prowadź pan - rzucił.

Jerry właśnie to robił, chociaż wcale nie znał drogi do basenów. Zanim wreszcie dotarli do celu, kilka razy skręcili w złą stronę i krążyli po labiryncie identycznych korytarzy.

- Ciepło - powiedział Garvey, gdy stanęli przed drzwiami, za którymi znajdował się mniejszy basen.

Jerry mruknął coś potakująco. Myślał tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć do basenów, i nie zauważył, że robi się coraz goręcej. Teraz, kiedy stał bez ruchu, czuł, że jest spocony. Powietrze było parne, ale nie pachniało tak jak gdzie indziej stęchlizną. Tu zaduch był bardziej mdlący, prawie duszący. Jerry miał nadzieję, że Garvey, spowity chmurą dymu z ponownie zapalonego cygara, nie czuje tego zapachu, bo był nieprzyjemny.

- Grzeją- rzekł Garvey.

- Na to wygląda - odparł Jerry, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego działa ogrzewanie.

Może Wydział Inżynieryjny od czasu do czasu uruchamiał sieć, żeby się nie zastała. Czy w takim razie gdzieś w trzewiach budynku byli robotnicy? Może Garvey rzeczywiście słyszał jakieś głosy? Jerry przygotował sobie w duchu wyjaśnienie na wypadek spotkania z nimi.

- Oto baseny - rzekł i pociągnął do siebie jedno skrzydło drzwi. Świetlik był tu jeszcze brudniejszy od tych w głównym korytarzu i do środka wpadało bardzo nikłe światło. Jednak Garvey się nie zrażał. Przystąpił próg i podszedł do brzegu basenu. Niewiele było widać, bo wszystko pokrywała wieloletnia pleśń. Na dnie ledwo majaczył się pod glonami jakiś wzór na kafelkach. Z dołu patrzyło na nich bezmyślne rybie oko.

- Zawsze bałem się wody - powiedział z namysłem Garvey wpatrując się w pusty basen. - Nie wiem, skąd się to u mnie wzięło.

- Może jakieś wspomnienie z dzieciństwa? - zaryzykował Jerry.

- Chyba nie - odparł Garvey. - Moja żona mówi, że chodzi o łono.

- O łono?

- Mówi, że nie lubił tam pływać - odpowiedział uśmiechając się.

Poprzez pustą przestrzeń basenu dobiegł ich krótki dźwięk, jakby coś spadło. Garvey znieruchomiał.

- Słyszał pan? - rzekł. - Ktoś tam jest. - Głos mu się nagle podniósł o oktawę.

- Szczury - odparł Jeny.

Wolałby raczej uniknąć spotkania z inżynierami, bo mogły paść trudne pytania.

- Latarka! - zażądał Garvey, wyrывая ją Jerry'emu z ręki. Skierował snop światła na przeciwległą ścianę, by spenetrować rząd przebieralni i otwarte drzwi. Nic się nie poruszyło.

- Nie lubię szkodników... - powiedział Garvey.

- Budynek jest zaniedbany - odparł Jerry.

- ...szczególnie rodzaju ludzkiego. - Garvey wcisnął latarkę z powrotem w dłoń Jerry'ego. - Mam wrogów, Coloqhoun. No ale zebrał pan o mnie informacje, prawda? Wie pan, że nie jestem czysty jak łza. - Zaniepokojenie Garveya głosami, które wydawało mu się, że słyszy, zostało wreszcie wyjaśnione. Nie obawiał się szczurów, ale ciężkich obrażeń ciała.

- Chyba już pójdę - powiedział. - Proszę pokazać mi drugi basen i wychodzimy.

- Jasne.

Jerry tak samo chciał wyjść jak jego gość. Od tego wydarzenia zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco. Pocił się już obficie. Bolały go zatoki. Zaprowadził Garveya pod drzwi hali większego basenu i pociągnął za jedno ich skrzydło. Drzwi nie ustąpiły.

- Jakiś problem?

- Chyba są zamknięte od wewnątrz.

- Jest inne wejście?

- Chyba tak. Mam obejść basen? Garvey zerknął na zegarek.

- Dwie minuty - powiedział. - Jestem umówiony. Garvey patrzył, jak Coloqhoun znika w ciemnym korytarzu poprzedzany chwiejnym blaskiem latarki. Nie podobał mu się ten facet.

Był zbyt gładko ogolony i nosił włoskie buty. Ale jego pomysł miał pewne walory. Garveyowi odpowiadał ten obiekt, trafiła mu do gustu jednolitość stylu, trywialność wystroju. W przeciwieństwie do wielu ludzi miał zaufanie do instytucji: szpitali, szkół, nawet więzień.

Trąciły porządkiem społecznym, uspokajały tę część jego osobowości, która bała się chaosu.

Lepszy już świat zbyt dobrze zorganizowany niż zorganizowany niewystarczająco.

Znów zgasło mu cygaro. Włożył je między zęby i zapalił zapałkę. Gdy przygasał jej gwałtowny blask, Garvey kątem oka spostrzegł w korytarzu przed sobą niewyraźną sylwetkę przyglądającej się mu nagiej dziewczyny. Widział ją tylko przez ułamek sekundy, ale kiedy zapałka wypadła mu z palców i zabrakło światła, zobaczył tę postać dokładnie oczyma duszy. Dziewczyna była młoda - najwyżej piętnastka - i miała pełne ciało. Pot na skórze przydał jej takiej zmysłowości, że wyglądała, jakby wyszła z jego snów. Odrzucił nieświeże cygaro, nerwowo znalazł następną zapałkę i zapalił ją, ale podczas tych kilku sekund ciemności dziecięca piękność zniknęła, zostawiając tylko powiew słodkiego zapachu swego ciała.

- Mała? - odezwał się.

Nagość i zaskoczenie w oczach dziewczyny sprawiły, że Garvey jej zapragnął.

-Mała?

Płomyk drugiej zapałki oświetlił tylko kilka metrów korytarza.

- Jesteś tam?

Pomyślał, że nie mogła odejść daleko. Zapaliwszy trzecią zapałkę poszedł jej szukać.

Zrobił jedynie kilka kroków, gdy usłyszał kogoś za sobą. Odwrócił się. Latarka oświetliła jego strach. To tylko Włoskie Buty.

- Nie ma drugiego wejścia.

- Nie musi mnie pan oślepiać - rzekł Garvey. Snop światła opadł.

- Przepraszam.

- Tutaj ktoś jest, Coloqhoun. Dziewczyna.

- Dziewczyna?

- Może wiesz pan coś o tym?

- Nie.

- Była nagusieńka. Stała trzy, najwyżej cztery metry ode mnie. Jerry spojrział w zdumieniu na Garveya. Czy cierpi na urojenia seksualne?

- Mówię, że widziałem dziewczynę - upierał się Garvey, choć nie spotkał się z zaprzeczeniem. - Gdyby pan nie nadszedł, dogoniłbym ją, - Rzucił okiem za siebie. - Niech pan poświeci tam.

Jerry skierował światło latarki na labirynt korytarzy. Żadnego śladu życia.

- Cholera - powiedział Garvey z prawdziwym żalem. Spojrział na Jerry'ego. - No dobra, wynosimy się stąd w diabły. Gdy rozstawali się na schodach, rzekł:

- Jestem zainteresowany. Są tu pewne możliwości. Co z planem budynku?

- Nie mam go, ale mogę zdobyć.

- Dobrze. - Garvey zapalał nowe cygaro. - I proszę mi przysłać bardziej szczegółową ofertę.

Wtedy znów pogadamy.

Zdobycie planu Zespołu Basenów od wtyczki w Wydziale Architektury wymagało sporej łapówki, ale Jerry w końcu go miał. Na papierze kompleks też wyglądał jak labirynt. I tak jak w najlepszych labiryntach, w układzie pryszniców, łaźni i przebieralni nie było z pozoru porządku. Obalila ten pogład Carole.

- Co to jest? - spytała go, gdy ślęczał wieczorem nad planem. Spędzili w jego mieszkaniu cztery czy pięć godzin - godzin wolnych od kłótni i nieprzyjemnej atmosfery, która ostatnio kładła się chmurą na spędzonym wspólnie czasie.

- Plan Basenów przy Leopold Road. Chcesz jeszcze brandy?

- Dziękuję, nie.

Przyglądała się rysunkowi, a Jeny wstał, żeby sobie dolać.

- Chyba dobiję targu z Garveyem.

- Będiesz z nim robić interesy, tak?

- Mówisz to w taki sposób, jakbym był handlarzem żywym towarem. Facet ma pieniądze.

- Brudne pieniądze.

- Co znaczy trochę brudu między przyjaciółmi? Spojrzała na niego lodowatym wzrokiem, a Jeny zapragnął cofnąć ostatnie dziesięć sekund i wymazać swoją uwagę.

- Bardzo chcę, żeby ta transakcja doszła do skutku - powiedział siadając naprzeciw Carole na sofie, ze szklaneczką w dłoni. Plan leżał rozpostarty na niskim stoliku między nimi.

- Bardzo chcę, żeby chociaż raz coś mi wyszło.

Jej spojrzenie pozostało nieubłagane.

- Ja po prostu uważam, że Garvey i jemu podobni sprowadzają kłopoty - rzekła. - Nie obchodzi mnie, ile on ma pieniędzy. To typ spod ciemnej gwiazdy. Jeny.

- Więc powinienem ze wszystkiego zrezygnować, tak? Tego ode mnie oczekujesz? -

Już kilkanaście razy sprzeczali się o to w ciągu ostatnich paru tygodni. - Twoim zdaniem powinienem zapomnieć o ciężkiej pracy, jaką włożyłem w ten projekt i dodać to fiasko do

wszystkich pozostałych?

- Nie musisz krzyczeć.

- Ja nie krzyczę!

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Nie krzyczysz.

-Jezu!

Znów pochyliła się nad planem. Obserwował ją z nadziewanej szklanej - ślizgał się spojrzeniem po jej delikatnych blond włosach i przedziałku na środku głowy. Pomyślał, że nie umięją ze sobą rozmawiać. Po raz kolejny nie udało im się znaleźć wspólnego języka, a bez tego żadna wymiana poglądów nie była możliwa. I nie tylko w tej sprawie - w pięćdziesięciu innych. Myśli krążące pod delikatną skórą głowy Carole stanowiły dla niego tajemnicę. A jego myśli były prawdopodobnie tajemnicą dla niej.

- To spirala - odezwała się.

- Co ma być spiralą?

- Baseny. Są zaprojektowane jako spirala. Zobacz.

Wstał, żeby spojrzeć na plan z góry, a Carole powiodła po korytarzach palcem. Miała rację. Chociaż wymogi budowlane zamazały klarowność wzoru, w labirynt korytarzy i pomieszczeń naprawdę została wpisana nieregularna spirala. Palec Carole zataczał coraz ciaśniejsze kręgi. W końcu spoczął na większym basenie, tym zamkniętym. Jeny wpatrywał

się w plan w milczeniu. Wiedział, że gdyby mu nie powiedziała, mógłby patrzeć na niego przez tydzień i w ogóle nie dostrzec ukrytej struktury.

Carole postanowiła, że nie zostanie na noc. Próbowwała wyjaśnić przy drzwiach, że to nie dlatego, że wszystko między nimi się skończyło, tylko że zbyt sobie ceni ich intymność, by używać jej jako bandaży. Prawie zrozumiał, o co jej chodzi - ona też widziała w nich zranione -zwierzęta. Przynajmniej mieli wspólne życie metaforyczne.

Przyzwyczał się do samotnego spania. Właściwie wolał być sam w łóżku, niż dzielić je z kimś, nawet z Carole. Dzisiaj jednak chciał, żeby z nim została. Nie musiała to być nawet ona, wystarczyłby ktokolwiek. Czuł się niespokojny bez powodu, jak dziecko. Gdy nadchodził sen, zaraz od niego uciekał, jakby bał się śnienia.

Wstał przed świtem, mając już dość tego żalostnego przeskakiwania ze snu w jawę i z powrotem. Ziębnięty, zawiął się w szlafrok i zrobił sobie herbaty. Plan ciągle leżał na stoliku, na którym zostawili go wieczorem. Popijając ciepły, słodki napar stał nad rysunkiem i rozmyślał. Teraz, kiedy Carole pokazała mu spiralę, mimo natłoku innych szczegółów wymagających jego uwagi potrafił się skupić jedynie na niej, na tym niezaprzeczalnym dowodzie, że chaos labiryntu był jedynie pozorem. Spirala uwięziła jego wzrok i uwiodła go; wędrował spojrzeniem po jej bezlitosnych zwojach, w kółko i w kółko, coraz ciaśniej - ale dokąd? Do zamkniętego basenu.

Wypił herbatę i wrócił do łóżka. Tym razem zmęczenie wzięło górę nad nerwami i nareszcie spłynął na niego sen. Obudziła go piętnaście po siódmej Carole, dzwoniąc przed wyjściem do pracy z przeprosinami za zeszły wieczór.

- Nie chcę, żeby wszystko się między nami popsulo, Jeny. Wiesz o tym, prawda?

Wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy.

Nie znosił rozmów o miłości rano. To, co o północy wydawało się romantyczne, nad ranem uderzało go śmiesznością. Odpowiedział na wynurzenia Carole jak tylko potrafił najlepiej i umówił się z nią na wieczór. Potem wrócił do poduszki.

Zaledwie przez kwadrans, jaki upłynął od opuszczenia Basenów, Ezra Garvey nie myślał o

dziewczynie, która mignęła mu w korytarzu. Jej twarz wracała do niego w czasie kolacji z żoną i w chwilach spędzanych z kochanką. Twarz tak nieskrępowana, tak jaśniejąca obietnicami.

Garvey uważał się za kobieciarza. W przeciwieństwie do podobnych sobie potentatów, którzy opłacali swe małżonki, by nie przeszkadzały wtedy, kiedy były niepotrzebne, Garvey lubił towarzystwo przedstawicielek płci przeciwnej; lubił ich głosy, perfumy, śmiech. Czerpał przyjemność z ich bliskości i niewiele znał w tym ograniczeń.

Otaczał się kobietami, gotów zawsze wydać na nie fortunę. Gdy więc wrócił tego ranka na Leopold Road, marynarkę miał obciążoną pieniędzmi i kosztownymi drobiazgami.

Przechodnie na ulicy zanadto byli zajęci ochroną swych głów (od świtu padała zimna, jednostajna mżawka), by zauważyć mężczyznę stojącego na schodach pod czarnym parasolem, a drugiego pochylonego nad kłódką. Chandaman był ekspertem w sprawach zamków. Kłódka otworzyła się z trzaskiem po kilku sekundach. Garvey opuścił parasol i wśliznął się do westybulu.

- Zaczekaj tutaj - polecił Chandamanowi. - I zamknij drzwi.

- Tak jest, sir.

- Jeśli będę cię potrzebował, zawołam. Masz latarkę?

Chandaman wyciągnął latarkę z kieszeni. Garvey wziął ją do ręki, zapalił i zniknął w korytarzu. Albo na zewnątrz było znacznie zimniej niż przedwczoraj, albo w środku -jeszcze goręcej. Rozpiął marynarkę i rozluźnił mocno zawiązany krawat. Z przyjemnością powitał

rozgrzane powietrze, przypominające mu o lśniącej skórze dziewczyny-zjawy i rozleniwionym spojrzeniu jej ciemnych oczu. Szedł korytarzem rozchlapując światło latarki na kafelkach. Zawsze miał dobry zmysł kierunku, toteż w krótkim czasie znalazł drogę do miejsca, gdzie spotkał dziewczynę. Stał bez ruchu i nasłuchiwał.

Garvey nawykł do oglądania się za siebie. Przez całe swe dorosłe życie, czy to w więzieniu, czy na wolności, musiał uważać na czających się z tyłu morderców. Ta nieustanna czujność uwrażliwiła go na najmniejszy ślad ludzkiej obecności. Dźwięki, jakie ktoś inny mógłby zignorować, w jego uszach dzwoniły ostrzegawczo. Ale tutaj? Nic. Cisza w korytarzach, cisza w łazienkach, cisza w każdym zakamarku budynku. A jednak wiedział, że nie jest sam. Gdy zawodziło pięć zmysłów, szósty - należący może bardziej do drzemiącego w nim zwierzęcia niż eleganckiego bywalca, jakiego zdradzał jego kosztowny garnitur -

wyczuwał wszystko. Ta zdolność wiele razy uratowała mu życie. Miał nadzieję, że teraz zaprowadzi go w ramiona piękności.

Zdał się na instynkt. Zgasił latarkę i wodząc rękoma po ścianie, ruszył korytarzem, z którego poprzednio wyszła dziewczyna. Obecność jego ofiary dręczyła go. Podejrzewał, że znajduje się zaledwie za ścianą, idąc równo z nim jakimś ukrytym przejściem, do którego nie miał dostępu. Ta myśl sprawiała mu przyjemność. Ona i on, sami w tym spotniałym labiryncie, prowadząc grę, która - co wiedzieli oboje - musi skończyć się schwytaniem dziewczyny. Poruszał się ostrożnie, a jego puls na szyi, przegubie dłoni i w kroczu odmierzał

sekundy pościgu. Krzyżyk przykleił mu się do mostka.

W końcu korytarz rozdzielił się. Garvey przystanął. Światło było tu bardzo nikłe i wypełniało tunele zwodniczym blaskiem. Nie można było ocenić odległości. Ufając jednak swemu instynktowi skręcił w lewo. Prawie od razu natknął się na drzwi. Były otwarte, więc wszedł do sporego pomieszczenia, a przynajmniej tak wnosił z przytłumionego odgłosu własnych kroków. Znow stanął w bezruchu. Tym razem jego wytężony słuch wyłowił jakiś dźwięk. Po drugiej stronie pomieszczenia miękkie stąpanie bosych stóp po kafelkach. To jego wyobraźnia, czy naprawdę błysnęła mu dziewczyna o ciele wyrzeźbionym z mroku, jaśniejszym od otaczającej ciemności i gładszym? Tak, to

ona. Prawie ją zawołał, ale powstrzymał się. Zamiast tego podjął milczący pościg, gotów z ochotą stosować się do jej reguł gry tak długo, jak długo by ją to bawiło. Przeszedł przez pomieszczenie i mijając kolejne drzwi, znalazł się w innym korytarzu. Powietrze było tu o wiele cieplejsze niż gdzie indziej w budynku, lepkie i przymilne. Na chwilę za gardło ścisnął go niepokój: tak chętnie wkładając głowę w tę ciepłą pętlę, lekceważył wszelkie życiowe zasady autokraty. To mogła być pułapka - dziewczyna, pościg... Za następnym rogiem mogło nie być już ani piersi, ani piękna, tylko nóż godzący w serce. A jednak wiedział, że tak nie jest, wiedział, że kroki przed nim są krokami lekkiej i gibkiej kobiety, że gorąco, które wywoływało u niego wciąż nowe fale potu, to klimat dobry akurat dla istoty zwiewnej i biernej. W takim upale nie mógłby zachować się żaden nóż: ostrze by zmiękło, ambicja poszłaby w niepamięć. Był zatem bezpieczny.

Odgłos kroków umilkł, więc on też stanął. Skądś padało światło, choć nie było widać jego źródła. Garvey obliznął słone wargi i ruszył do przodu. Czuł pod palcami wodę pokrywającą kafelki, podłoga również była śliska. Z każdą chwilą rosło w nim oczekiwanie.

Robiło się coraz jaśniej. Nie był to blask dnia - słońce nie docierało do tego sanktuarium. Garveyowi światło to przywodziło raczej na myśl blask księżycy - miękkiej, ulotnej

- choć i on nie mógł mieć tu dostępu. W każdym razie dzięki niemu Garvey zobaczył tę dziewczynę, a raczej: jakąś dziewczynę, bo nie była to ta sama, którą widział dwa dni wcześniej. Była również naga i młoda, ale zupełnie inna. Zanim uciekła przed nim i zniknęła za zakrętem korytarza, napotkał jej wzrok. Zaintrygowanie dodało teraz pościgowi pikanterii: niejedna, lecz dwie dziewczyny mieszkały w tym tajemniczym miejscu. Dlaczego?

Obejrzał się za siebie, chcąc sprawdzić, czy gdyby chciał się wycofać, droga ucieczki jest wolna, ale jego pamięć, zamroczona wonnym powietrzem, odmówiła odtworzenia jasnego obrazu trasy, którą przyszedł. Ukłucie niepokoju ostudziło nieco jego uniesienie, ale nie poddał się rozterce - szedł dalej. Podążył za dziewczyną do końca korytarza i skręcił za nią w lewo. Po chwili korytarz znów załamywał się w lewo - dziewczyna właśnie zniknęła za rogiem. Niejasno zdając sobie sprawę, że zakręty stają się coraz częstsze, Garvey zmierzał

tam, gdzie go prowadziła. Dyszał przy tym z wysiłku w parnym powietrzu.

Nagle, gdy wyszedł zza ostatniego zakrętu, uderzyło go w twarz powietrze tak gorące, że prawie nie mógł oddychać. Znalazł się w małym, skąpo oświetlonym pomieszczeniu. Rozpiął górne guziki koszuli. Na grzbietach dłoni wystąpiły mu żyły jak postronki; zdawał sobie sprawę, z jakim wysiłkiem pracują jego płuca i serce. Z ulgą zobaczył, że tu pościg się kończy. Parę metrów dalej dziewczyna stała odwrócona do niego tyłem. Na widok jej gładkich pleców i rozkosznych pośladków klaustrofobia opuściła go.

- Dziewczyno... - wydyszał. - Aleś mnie przegoniła po tych korytarzach.

Jakby go nie słyszała albo, co bardziej prawdopodobne, przedłużała grę do granic kaprysu.

Ruszył po śliskich kafelkach w jej kierunku.

- Mówię do ciebie.

Gdy zbliżył się do niej na pięć kroków, odwróciła się. To nie była dziewczyna, za którą, szedł, ani ta, którą widział przed dwoma dniami. To był zupełnie kto inny. Jego spojrzenie spoczywało jednak na nieznanym twarzy tylko kilka sekund - potem ześliznęło się w oszołomieniu na dziecko trzymane przez dziewczynę w ramionach. Jak każdy noworodek łapczywie ssała młoda, pierś. Jednak w ciągu czterdziestu pięciu lat swego życia Garvey nigdy czegoś takiego nie widział. Ogarnęły go mdłości. Widok karmiącej sam w sobie stanowił już niespodziankę, ale noworodek, to coś, ten wyrzutek plemion ludzkich i zwierzęcych, był ponad wytrzymałość jego żołądka. Samo piekło miało przyjemniejsze potomstwo.

- Co, na Boga...?

Dziewczyna przyglądała się przerażeniu Garveya, a po twarzy przebiegł jej uśmiech.

Mężczyzna potrząsnął głową. Dziecko wyciągnęło pofałdowaną kończynę i chwyciło matkę za pierś, by lepiej się jej trzymać. Ten ruch w mgnieniu oka zmienił obrzydzenie Garveya we wściekłość. Nie zwracając uwagi na protesty dziewczyny, oderwał od niej to paskudztwo, przytrzymał je na tyle długo, by poczuć, jak lśniący worek jego ciała wije mu się w dłoniach, a potem najmocniej jak potrafił cisnął nim w przeciwległą ścianę pomieszczenia. Gdy uderzyło w kafelki, wrzasnęło, ale krzyk urwał się prawie natychmiast, podjęła go za to matka.

Podbiegła do leżącego dziecka, którego najwyraźniej pozbawione kości ciało rozdarło się od uderzenia. Jedna z kończyn, których miało z dziesięć, chciała sięgnąć do jej zalanej łzami twarzy. Dziewczyna wzięła to coś w ramiona, a strużki lśniącego płynu spływały jej po brzuchu na krocze. Z oddali dobiegł jakiś krzyk. Garvey nie miał wątpliwości, że była to odpowiedź na śmiertelny płacz dziecka i wznoszące się zawodzenie matki, ale ten nowy dźwięk wydawał się przepojony jeszcze większym smutkiem niż tamte. Wyobraźnia Garveya była uboga; poza snami o bogactwie i kobietach leżało pustkowie. Teraz jednak, na dźwięk tego głosu, pustkowie zakwitło i wydało z siebie niesłychane potworności; Garvey nigdy nie podejrzewał się o to, że coś takiego może żałac się w jego głowie. Nie były to wyobrażenia potworów, które - w najlepszym razie - można by uznać za zlepki przeżytych zjawisk. Umysł

jego wytworzył raczej uczucia niż obrazy - zresztą pochodziły one chyba ze szpiku kości, a nie z umysłu. Cała pewność egzystencji zdradzała; męskość, władza, bliźniacze imperatywy strachu i rozumu - wszystkie one postawiły kołnierze i wyparły się go. Zadygotał, bojąc się tak, jak tylko bał się snów, tymczasem krzyk trwał. Nagle Garvey odwrócił się i wybiegł z pomieszczenia, a światło kładło przed nim w korytarzu jego cień.

Opuściło go poczucie kierunku. Na pierwszym i drugim rozwidleniu popełnił błąd. Po kilku metrach zdał sobie z niego sprawę i spróbował zawrócić, ale tylko powiększył tym swoją dezorientację. Wszystkie korytarze wyglądały jednakowo: takie same kafelki, takie samo nikłe światło; za każdym zakrętem Garvey napotykał albo pomieszczenie, przez które przedtem nie przechodził, albo ślepa ścianę. Popadał w coraz większą panikę. Zawodzenie ucichło i teraz znajdował się sam na sam ze swym chrapliwym oddechem i na wpół

wypowiedzianymi przekleństwami. To Coloqhoun był odpowiedzialny za jego męczarnie i Garvey przysiągł, że wydobędzie z niego, jaka kierowała nim pobudka - choćby miał

osobiście połamać mu wszystkie kości. Biegając trzymał się myśli o pobiciu Coloqhouna - była to jego jedyna pociecha. Tak pogrążył się w rozważaniach o bólu, jaki mu zada, że nie spostrzegł, iż zatoczył koło i biegnie z powrotem w kierunku światła, dopóki nie wjechał po śliskiej posadzce do znajomego pomieszczenia. Dziecko leżało na podłodze, martwe i porzucone. Matki nie było nigdzie widać.

Garvey zatrzymał się i ocenił swoje położenie. Jeśli zawróci tą samą drogą, znów tylko wszystko mu się pomiesza; jeśli pójdzie dalej przez pomieszczenie, w kierunku światła, może zdoła przeciąć ten węzeł gordyjski. Ostrożnie podszedł do drzwi po drugiej stronie i wyjrzał. Ukazał mu się kolejny krótki korytarz, a za nim drzwi prowadzące na jakąś otwartą przestrzeń. Basen! Na pewno basen!

Odrzucił wszelką ostrożność, wyszedł z pomieszczenia i ruszył korytarzykiem.

Z każdym krokiem czuł, jak upał się nasila. Pulsowało mu od niego w głowie.

Wreszcie dotarł do celu.

Duży basen nie został opróżniony. Przeciwnie, prawie się z niego przelewało - nie czysta woda, ale spieniona, parująca ciecz. To było źródło światła. Woda w basenie fosforyzowała, zabarwiając

wszystko dookoła - kafelki, trampolinę, przebieralnię (jego samego pewnie też) -jednakową, bladą poświatą

Rozejrzał się. Ani śladu kobiet. Droga była wolna, z dwuskrzydłowych drzwi zniknęła kłódka i łańcuch. Pośliznął się i zerknął pod nogi. Okazało się, że przekroczył strużkę cieczy, która albo kończyła się na skraju basenu, albo tam brała początek. W niesamowitym świetle trudno było określić jej kolor.

Spojrzał na wodę powodowany przemożną ciekawością Para wodna wirowała, jakiś prąd poruszał szumowinami. Jest! Dostrzegł ciemny, nieokreślony kształt przemierzający się pod powierzchnią, Pomyślał o istocie, którą zabił, o jej bezkształtnym ciele i zwisających pędach kończyn. Czy to kolejny przedstawiciel tego gatunku? Płynny blask pluskał o krawędź basenu u jego stóp, kontynenty piany rozpadały się w archipelagi. Po pływaku nie został ślad.

Garvey przeniósł rozkłoszczone spojrzenie gdzie indziej. Nie był już sam. Pojawiły się skądś trzy dziewczęta i szły w jego kierunku wzdłuż krawędzi basenu. W jednej z nich rozpoznał dziewczynę, którą zobaczył tu pierwszą W przeciwieństwie do swych sióstr była ubrana - w sukienkę. Jedną pierś miała jednak obnażoną Zbliżając się patrzyła na niego z powagą Ciągnęła za sobą linę ozdobioną na całej długości poplamionymi wstążkami, zawiązanymi w oklapłe, ale wymyślne kokardy.

Wraz z pojawieniem się trzech gracji fermentujące wody basenu wzburzyły się gwałtownie, bowiem jego mieszkańcy podpłynęli na spotkanie kobiet. Garvey widział trzy czy cztery niespokojne kształty ocierające się o powierzchnię, ale nie wypływające ponad nią, Wahał się między instynktownym nakazem ucieczki (lina, choć upiększona, nadal była liną) a pokusą, by zostać i zobaczyć, co jest w basenie. Rzucił okiem w kierunku drzwi. Znajdował

się o dziesięć metrów od nich. Szybki bieg - i znajdzie się w chłodnym powietrzu korytarza. A tam Chandaman był już w zasięgu głosu.

Dziewczyny zatrzymały się kilka kroków przed nim i obserwowały go. Wszystkie żądze, które przywiodły tu Garveya, podkuliły ogon. Nie chciał już ujmować dłońmi piersi tych istot czy gmerać między ich lśniącymi udami. Te kobiety nie były tym, czym się wydawały.

Ich spokój nie był uległością, lecz narkotycznym transem, ich nagość nie była narzędziem zmysłów, lecz wyrazem strasznej, obraźliwej dla niego obojętności. Nawet ich młodość i wszystko, co z sobą niosła - gładkość skóry, połysk włosów -nawet ona była w pewien sposób skażona. Gdy dziewczyna w sukience wyciągnęła rękę i dotknęła jego spoconej twarzy, Garvey krzyknął cicho z obrzydzenia, jakby liznął go wąż. Jego reakcja nie zaniepokoiła jej. Jeszcze bardziej się do niego zbliżyła ze wzrokiem utkwionym w jego oczach, pachnąc nie perfumami, jak jego kochanka, ale zmysłowością Mimo odczuwanego wstępu nie mógł się odwrócić. Stał patrząc dziwce w oczy, a ona ucałowała go w policzek i owinęła mu przybraną wstążkami linę wokół szyi.

Jerry od rana dzwonił co pół godziny do biura Garveya. Najpierw powiedziano mu, że go nie ma, ale będzie po południu. Z czasem informacja ta zmieniła się: miało go nie być cały dzień. Sekretarka oznajmiła, że pan Garvey źle się czuje i poszedł odpocząć do domu.

„Proszę zadzwonić jutro." Jerry zostawił jej wiadomość, że ma plan Zespołu Basenów i chciałby spotkać się z panem Garveyem, by porozmawiać na temat dalszej współpracy, kiedy tylko panu Garveyowi będzie odpowiadało.

Carole zadzwoniła późnym popołudniem.

- Pójdziemy gdzieś wieczorem? - spytała. - Może do kina?

- A co chcesz obejrzeć?

- Och, tak naprawdę nie zastanawiałam się jeszcze. Pogadamy o tym wieczorem, dobrze?

W końcu poszli na jakiś francuski film, który, o ile Jerry mógł stwierdzić, w ogóle był

pozbawiony akcji - stanowił po prostu zlepek dialogów prowadzonych przez bohaterów na temat ich dramatów i aspiracji, z których pierwsze były wprost proporcjonalne do niepowodzeń w spełnianiu tych drugich. Ogarnęła go po nim apatia.

- Nie podobał ci się...

- Nie bardzo. Taki smutas.

- I żadnej strzelaniny - powiedziała uśmiechając się do siebie.

- Co cię tak bawi?

- Nic.

- Nie mów, że nic. Wzruszyła ramionami.

- Po prostu się uśmiechnęłam, to wszystko. Nie mogę się uśmiechać?

- Jezu, tej rozmowie brakuje tylko napisów. Przeszli się trochę po Oxford Street.

- Chcesz coś zjeść? - zapytał, gdy stanęli na rogu Poland Street - Moglibyśmy pójść do Czerwonego Portu.

- Nie, dzięki. Nie znoszę jeść tak późno.

- Na litość boską, nie sprzecajmy się o jakiś cholerny film.

- Kto się sprzecza?

- Potrafisz doprowadzić człowieka do białej gorączki...

- Przynajmniej to mamy ze sobą wspólnego - odpaliła. Szyja jej poczerwieniała.

- Mówiłaś rano...

- Co?

- O tym, żebyśmy się wzajemnie nie stracili...

- To było rano - powiedziała ze stalowym błyskiem w oku. A potem dodała nagle: - Nic cię nie obchodzi, Jerry. Ani ja, ani ktokolwiek inny.

Patrzyła na niego w sposób, który miał sprowokować go do odpowiedzi. Ale on milczał. Mimo to wyglądała na dziwnie zadowoloną,

- Dobranoc - powiedziała i zaczęła się oddalać. Patrzył, jak robi sześć, siedem kroków, i coś w nim chciało za nią zawołać, lecz nie pozwoliło mu na to z dziesięć drobiazgów - duma, zmęczenie, lenistwo. Ale w końcu ruszyła go myśl o pustym łóżku, o pościeli ciepłej tylko w miejscu, gdzie leżał on, a z lewej i z prawej strony chłodnej jak diabli.

- Carole!

Nie odwróciła się, nawet nie zmieniła rytmu kroków. Musiał podbiec, żeby ją dogonić, zdając sobie sprawę, że przechodnie zapewne bawią się tą sceną,

- Carole.

Chwycił ją za ramię. Teraz się zatrzymała. Kiedy stanął naprzeciw niej, z zaskoczeniem stwierdził, że płacze. To go zbiło z tropu, bo nie znosił jej łez tylko odrobinę mniej niż swych własnych.

- Poddaję się - oświadczył próbując się uśmiechnąć. - Ten film to arcydzieło. Jak teraz?

Nie dała się ugłaskać wygłupami. Twarz miała nieszczęśliwą i nabrzmiałą,

- Przestań - powiedział. - Proszę cię, przestań. Nie jestem... (zbyt dobry w przeprosinach, chciał powiedzieć, ale był w nich tak beznadziejny, że nie potrafił powiedzieć nawet tego).

- Daj spokój - rzekła cicho. Widział, że nie jest zła, tylko nieszczęśliwa.

- Jedźmy do mnie.

- Nie chcę.

- Ale ja chcę - odparł. Przynajmniej w tym był szczery. - Nie lubię rozmawiać na ulicy.

Zatrzymał taksówkę i wrócili do Kentish Town w milczeniu. Kiedy szli po schodach do

mieszkania, Carole zauważyła:

- Wstrętne perfumy.

Na schodach utrzymywał się silny, kwaśny zapach.

- Ktoś jest na górze - powiedział Jerry, nagle zaniepokojony, i popędził do drzwi. Były otwarte: zamek został bezceremonialnie wyłamany, a drewno framugi strzaskane. Zaklął.

- Co się stało? - spytała Carole.

- Włamanie.

Wszedł do mieszkania i zapalił światło. W środku panował straszny bałagan. Całe mieszkanie zostało wywrócone do góry nogami. Wszędzie widoczne były siady wandalizmu: porozbijane obrazy, wypatroszone poduszki, porąbane meble. Jerry patrzył na to pobojuwisko i trząsł się, a Carole chodziła od pokoju do pokoju, w każdym zastając z jednakową pedanterią dokonane zniszczenia.

- To wygląda na jakieś osobiste porachunki. Skinął głową,

- Zadzwoń na policję - zaofiarowała się. - Sprawdź, czego brakuje.

Zrobił, jak mu kazała. Był oszołomiony, twarz miał pobladłą, Chodząc apatycznie po mieszkaniu i oglądając zastane pandemonium, przekładając połamane przedmioty, wsuwając szuflady na miejsce, wyobrażał sobie napastników, jak ze śmiechem mszczą jego ubrania i pamiątki. W kącie sypialni znalazł stertę swoich zdjęć. Były oblane moczem.

- Policja już jedzie - oznajmiła Carole. - Powiedzieli, żeby niczego nie dotykać.

- Za późno - mruknął.

- Czego brakuje?

- Niczego.

Wszystkie wartościowe przedmioty - sprzęt stereo i wideo, karty kredytowe, biżuteria

- były na miejscu. Dopiero teraz przypomniał sobie o planie. Wrócił do salonu i zaczął przekopywać się przez pobojuwisko, ale dobrze wiedział, że nie znajdzie, czego szuka.

- Garvey - powiedział.

- Co Garvey?

- Przyszedł po plan Basenów. Albo przysłał kogoś.

- Dlaczego? - spytała Carole, rozglądając się po pokoju. - I tak miałeś mu go dać.

Jerry potrząsnął głową,

- Ostrzegając mnie, żebym trzymał się od niego z daleka...

- Jednak nie spodziewałam się czegoś takiego.

- No to jest nas dwoje.

Policjanci przyszli i wyszli, przepaszając, że chyba nikogo nie zaarrestują

- Tyle tu teraz wandalów w okolicy - rzekł jeden z nich. - Na dole nikogo niema...?

- Nie. Sąsiedzi wyjechali.

- Zatem nie ma nadziei, że znajdą się jacyś świadkowie. Cały czas dostajemy takie wezwania.

Jest pan ubezpieczony?

- Tak.

- To już przynajmniej coś.

Jerry nie zdradzał się ze swymi podejrzeniami, chociaż go kusiło, żeby wskazać sprawcę. Nie było jednak sensu oskarżać Garveya w tych okolicznościach. Przede wszystkim na pewno przygotował sobie alibi, a poza tym oskarżenie bez dowodów tylko by pogorszyło sytuację.

- I co teraz zrobisz? - spytała Carole, gdy policjanci, wzruszywszy ramionami, pożegnali się i wyszli.

- Nie wiem. Nie mam nawet pewności, że to Garvey. Raz jest przyjacielski i wesoły, a za chwilę

coś takiego. Jak mam teraz wobec niego postąpić?

- Najlepiej nic już w tej sprawie nie rób - odparła. - Chcesz tu zostać czy pójdziesz do mnie?

- Zostanę.

Spróbowali pobieżnie przywrócić poprzedni stan rzeczy, ustawiając te meble, które były na tyle nie uszkodzone, że mogły stać, i sprzątając rozbite szkło. Potem odwrócili pocięty materac, znaleźli dwie nienaruszone poduszki i położyli się.

Chciała się kochać, ale i to, jak tyle ostatnio rzeczy w jego życiu, nie miało się udać.

Konfliktów powstałych za dnia nie sposób zażegnać w łóżku. Gniew pozbawił Jerry'ego delikatności, a to z kolei rozgniewało Carole. Leżała pod nim marszcząc czoło, całując go niechętnie i sztywno. Jej opór pobudził go jedynie do większej brutalności.

- Przestań - powiedziała, gdy właśnie miał ją posiąść. - Nie chcę.

Zignorował jej sprzeciw. Pchnął silnie, zanim zdążyła ponownie zaprotestować.

- Powiedziałam, żebyś przestał. Jerry. Ogluchł na jej słowa. Był półtora raza cięższy od niej. Zamknął oczy. Znowu kazała mu przestać, tym razem z prawdziwą wściekłością, ale on tylko zaczął się poruszać jeszcze gwałtowniej, tak jak czasami go o to prosiła, gdy naprawdę byli podkręceni - błagała nawet. Teraz jednak przeklinała go i rzucała groźby, więc już chciał się wycofać, ale w kroczu odczuwał taką pełnię i ucisk, że ostatecznie umiał

myśleć jedynie o doprowadzeniu sprawy do końca.

Carole wrywała się, orała mu plecy paznokciami i ciągnęła go za włosy, by odkleić jego twarz od swej szyi. Przypuszczał, że zniechęci go za ten wieczór i w tym przynajmniej będą się zgadzali, ale myśl ta wkrótce utonęła w doznaniach zmysłowych. Trucizna spłynęła i Jerry zsunął się na prześcieradło.

- Łajdak - usłyszał.

Piekły go plecy. Kiedy wstał z łóżka, na pościeli zostawił ślady krwi. Przekopał się przez bałagan w salonie i znalazł butelkę whisky. Wszystkie szklaneczki były jednak potłuczone, a powodowany jakimś absurdalnym kaprysem nie chciał pić z butelki. Kucnął

przy ścianie chłodząc plecy. Nie czuł się ani nieszczęśliwy, ani dumny. Otworzyły się i trzasnęły drzwi wejściowe. Słuchał kroków Carole na schodach. Potem przyszły łzy, chociaż i one nie przyniosły mu ulgi. W końcu, gdy się uspokoił, poszedł do kuchni, znalazł filiżankę i upił się do nieprzytomności.

Gabinet sprawiał imponujące wrażenie. Garvey kazał go umeblować na wzór gabinetu znajomego prawnika: ściany „wyłożone” książkami kupowanymi na metry, kolor dywanu i ścian stonowany jakby od dymu cygar i nagromadzonej wiedzy. Kiedy trudno było mu spać, tak jak teraz, przychodził tutaj, siadał na skórzanym fotelu za ogromnym biurkiem i marzył o życiu w zgodzie z prawem. Dzisiaj jednak nie, dziś wieczór myśli miał zajęte czym innym. Choć uparcie starał się skierować je na inne tory, ciągle wracały do budynku przy Leopold Road,

Niewiele przypominał sobie z tego, co się tam stało. Już samo to napawało go niepokojem - zawsze był dumny ze swej pamięci. W gruncie rzeczy pamięć do twarzy i wyświadczonych przysług w dużej mierze przyczyniła się do powstania jego obecnej potęgi.

Chwalił się, że wśród setek jego pracowników nie było stróża czy sprzątaczkę, do których nie potrafiłby się zwrócić po imieniu.

Jednak wydarzenia sprzed zaledwie trzydziestu sześciu godzin pamiętał tylko w najogólniejszych zarysach: otaczające go kobiety, zaciskanie się pętli na szyi, to, jak prowadzono go wzdłuż basenu do jakiegoś pomieszczenia, od którego ohydy prawie postradał zmysły... Sceny, które rozegrały się w budynku przy Leopold Road, majaczyły w jego pamięci jak te kształty w nieczystościach basenu:

niewyraźnie, ale straszliwie niepokojąco. Przeżył upokorzenie i jakieś okropności, prawda? Poza tym nie pamiętał niczego.

Nie był jednak człowiekiem, który bezradnie rozkładałby ręce w obliczu takich zagadek. Miał zamiar je rozwiązać - bez względu na cenę. Pierwszym ruchem było wysłanie Chandamana i Fryera, żeby wywrócili do góry nogami mieszkanie Coloqhouna. Jeśli, jak podejrzewał, całe to przedsięwzięcie było jakąś wymyślną pułapką zastawioną przez jego wrogów, to Coloqhoun musiał brać w tym udział - niewątpliwie w charakterze pionka, na pewno nie projektodawcy. Zniszczenie dobytku Coloqhouna miało być ostrzeżeniem, że Garvey będzie walczył. Owo najście przyniosło też inny pożytek: Chandaman wrócił z planem Basenów, który teraz leżał rozpostarty na biurku Garveya. Ten śledził przebytą trasę w nadziei, że pobudzi to jego pamięć. Zawiódł się.

Wstał ze znużeniem i podszedł do okna. Ogród za domem był ogromny i starannie utrzymany. Teraz jednak niewiele dało się zobaczyć, bo blask gwiazd ledwo oświetlał nocny krajobraz. Tak naprawdę Garvey widział tylko własne odbicie w szybie.

Gdy skupił na nim wzrok, zarys jego postaci jakby się rozmył, a on sam poczuł rozluźnienie w podbrzuszu, jak gdyby coś się tam rozwiązało.. Przyłożył rękę do brzucha.

Coś w nim drgnęło - i na chwilę Garvey znalazł się z powrotem w gmachu Basenów, nagi, a przed jego oczyma poruszył się jakiś guzowaty kształt. Mężczyzna już miał wrzasnąć, ale powstrzymał się. Stał tyłem do okna i potoczył wzrokiem po pokoju: spojrzął na dywan, książki i meble, odnajdując się w twardej rzeczywistości. Nawet wtedy jednak obrazy nie zniknęły zupełnie z jego myśli. Wnętrza też nadal mu drgały.

Dopiero po kilku minutach potrafił się zmusić do spojrzenia na swoje odbicie w oknie.

Kiedy w końcu to zrobił, zniknęły wszelkie wahania. Nie dopuści już więcej do takiej nocy - bezsennej i nawiedzanej przez zjawy. Z pierwszym brzaskiem obiecał sobie, że w tym dniu dopadnie Coloqhouna.

Jerry próbował rano dodzwonić się do Carole, do jej biura. Za każdym razem nie mogła podejść. W końcu dał za wygraną i skupił się na herkulesowej pracy przywrócenia w mieszkaniu porządku. Jednak brakowało mu energii, żeby zrobić to dobrze. Po godzinie doszedł do wniosku, że uczynił w bałaganie tylko niewielki wyłom, i poddał się. Zresztą ten chaos dokładnie wyrażał jego własne zdanie o sobie. Pomyślał, że może lepiej go tak zostawić.

Tuż przed południem odezwał się telefon.

- Pan Coloqhoun? Pan Gerard Coloqhoun?

- Zgadza się.

- Nazywam się Fryer. Dzwonię w imieniu pana Garveya.

- Tak?

Będzie ustami tego Fryera głosił swój tryumf czy też groził dalszymi nieprzyjemnościami?

- Pan Garvey spodziewał się od pana pewnych propozycji.

- Propozycji?

- Z entuzjazmem odnosi się do tego projektu związanego z Leopold Road, panie Coloqhoun.

Uważa, że może on przynieść znaczny dochód.

Jerry nie odpowiedział nic, bo ta gadanina go zaskoczyła.

- Pan Garvey chciałby się z panem jak najszybciej spotkać.

- Tak?

- W Zespole Basenów. Jest tam parę detali architektonicznych, które chciałby pokazać swoim współpracownikom.

- Rozumiem.

- Czy jest pan wolny dzisiaj po południu?

- Tak. Oczywiście.

- Szesnasta trzydzieści?

Rozmowa skończyła się mniej więcej w tym miejscu. Jeny był zdumiony. W głosie Fryera nie było śladu wrogości, żadnej, choćby najmniejszej aluzji do napiętej sytuacji między nimi. Może, tak jak sugerowała policja, zniszczenia rzeczywiście były dziełem jakichś anonimowych wandalów, a kradzież planu - ich kaprysem. Ta myśl podniosła go nieco na duchu. Jeszcze nie wszystko było stracone.

Znów zadzwonił do Carole, podbudowany takim obrotem sprawy. Tym razem nie przyjął wymówek powtarzanych przez jej kolegów i domagał się, żeby ją poproszono. W końcu dopiął swego.

- Nie chcę z tobą rozmawiać, Jerry. Idź do diabła.

- Wysłuchaj mnie tylko...

Trzasnęła słuchawką. Natychmiast zadzwonił jeszcze raz. Kiedy odebrała telefon i usłyszała jego głos, wydawało się, że jest zdumiona jego determinacją

- Dlaczego chcesz się pogodzić? - spytała. - Po co? - Słyszał dobrze, że łyzy ściskają jej gardło.

- Chcę, żebyś zrozumiała, jak podle się czuję. Pozwól mi to naprawić. Błagam, pozwól mi to naprawić. Nie odpowiadała.

- Nie odkładaj słuchawki. Proszę cię. Wiem, że to niewybacalne. Jezu, wiem... Nadal milczała.

- Pomyśl o tym, dobrze? Daj mi szansę naprawienia zła. Dobrze?

- Nie widzę sensu - powiedziała bardzo cicho.

- Czy mogę zadzwonić jutro? Usłyszał jej westchnienie.

- Mogę?

- Tak. Tak. I wyłączyła się.

Na spotkanie przy Leopold Road wyruszył aż trzy kwadranse przed umówioną godziną, ale w połowie drogi spadł deszcz, którego wielkie krople kpiły z wszelkich wysiłków wycieraczek. Ruch samochodowy zwolnił tempo. Przez pół mili Jeny ledwo się włókł, widząc przez ścianę wody jedynie tylne światła samochodu jadącego przed nim. Mijały minuty i rósł

jego niepokój. Zanim wydobył się z korka, żeby znaleźć inny dojazd, był już spóźniony. Na schodach wiodących do gmachu Basenów nikt nie czekał, ale farbkowy rover Garveya stał

trochę dalej przy chodniku. Nie było kierowcy. Jerry znalazł miejsce do zaparkowania po drugiej stronie ulicy i przeciął ją w deszczu. Od samochodu do budynku miał zaledwie pięćdziesiąt metrów, ale kiedy dotarł do celu, był przemoczony i zadyszany. Drzwi stały otworem. Garvey najwyraźniej zrobił coś z zamkiem i schował się przed ulewą, Jerry wskoczył do środka.

Nie zobaczył Garveya w westybulu, był tam za to ktoś inny. Mężczyzna wzrostu Jerry'ego, ale półtora raza od niego cięższy. Na rękach miał skórzane rękawiczki. Twarz, choć bez szwów, też wyglądała, jakby była w rękawiczce.

- Colophon?

- Tak.

- Pan Garvey czeka na ciebie w środku.

- Kim pan jest?

- Chandaman - odparł mężczyzna. - Wchodź.

W końcu korytarza paliło się światło. Jeny pchnął szklane drzwi westybulu i ruszył w tamtym kierunku. Usłyszał, jak drzwi wejściowe zamykają się za nim z trzaskiem, a potem w korytarzu rozbrzmiały kroki podkomendnego Garveya.

Garvey rozmawiał z innym mężczyzną, niższym od Chandamana, który trzymał sporą latarkę. Gdy usłyszeli kroki Jerry'ego, spojrzeli w jego stronę i raptownie przerwali rozmowę.

Garvey nie przywitał go ani słowem, ani gestem, powiedział tylko:

- Najwyższy czas.

- Deszcz... - zaczął Jerry, ale po chwili zrezygnował z oczywistego usprawiedliwienia.

- W taką pogodę ludzie zaziębiają się na śmierć - rzekł ten z latarką Jerry natychmiast rozpoznał słodki głos.

- Fryer.

- We własnej osobie - odparł mężczyzna.

- Miło mi pana poznać.

Podali sobie ręce i wtedy Jerry zauważył, że Garvey intensywnie się w niego wpatruje. Chyba przez pół minuty nic nie mówił, tylko chłonał wzrokiem rosnące zmieszanie, jakie malowało się na twarzy Jerry'ego.

- Nie jestem głupi - rzekł w końcu Garvey. To nagłe stwierdzenie wymagało jakiejś reakcji.

- Nie uważam, że odgrywasz w tym wszystkim główną rolę - ciągnął Garvey. - Jestem gotów okazać ci miłosierdzie.

- O co chodzi?

- Miłosierdzie - powtórzył Garvey - bo myślę, że nie orientujesz się w całości. Mam rację? Jerry tylko zmarszczył czoło.

- Chyba tak - odparł Fryer.

- Pewnie nawet nie rozumiesz, w jak poważnych tarapatach się znalazłeś, prawda? - powiedział Garvey.

Jerry zdał sobie nagle z niepokojem sprawę, że stoi za nim Chandaman i że sam jest kompletnie bezbronny.

- Nie zawsze jednak można zasłonić się niewiedzą - mówił Garvey. - To znaczy, nawet jeśli niewiele rozumiesz, to cię nie usprawiedliwia.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - łagodnie zaprotestował Jerry. W świetle latarki twarz Garveya była ściągnięta i blada. Wyglądał, jakby potrzebował wakacji.

- O tym miejscu - odparł Garvey. - Mówię o tym miejscu. O kobietach, które tu dla mnie umieściłeś... O co w tym wszystkim chodzi, Coloqhoun? Chcę się dowiedzieć tylko tego. O co w tym wszystkim chodzi?

Jerry wzruszył lekko ramionami. Każde słowo Garveya brzmiało dla niego coraz bardziej zdumiewająco, ale już przecież powiedziano mu, że niewiedzy nie uznaje się za usprawiedliwienie. Może najmądrzejszą odpowiedzią będzie pytanie?

- Widział pan tutaj jakieś kobiety?

- Raczej dziwki - odparł Garvey. Z ust pachniało mu zeszlotygodniowym cygarem. -

Dla kogo pracujesz, Coloqhoun?

- Dla siebie. Transakcja, którą proponowałem...

- Daj sobie spokój z tą twoją pieprzoną transakcją - przerwał mu Garvey. - Nie interesują mnie żadne transakcje.

- Rozumiem - odpowiedział Jerry. - Nie widzę więc w tej rozmowie żadnego sensu. -

Cofnął się o pół kroku, ale Garvey błyskawicznym ruchem chwycił go za przemoczony płaszcz.

- Nie kazałem ci odejść - warknął Garvey.

- Mam sprawy do...

- No to trochę poczekaj - odparł mężczyzna nie rozluźniając prawie chwytu.

Jerry wiedział, że gdyby spróbował się wyrwać i rzucić do frontowych drzwi, to zanim zrobiłby trzy kroki, zostałby zatrzymany przez Chandamana. Z drugiej strony, jeśli nie spróbuje ucieczki...

- Nie przepadam za takimi facetami jak ty - rzekł Garvey zabierając rękę. - Sprytne szczeniaki wyglądające wielkiej szansy. Myślisz, że jesteś cholernie cwany, bo masz śmieszny akcent i jedwabny krawat. Posłuchaj no - dźgnął Jerry'ego palcem w gardło -

gówno mnie obchodzisz. Chcę tylko wiedzieć, dla kogo pracujesz. Jasne?

- Już panu mówiłem...

- Dla kogo pracujesz? - upierał się Garvey, akcentując każde słowo kolejnym pchnięciem. - Mów albo poczujesz się bardzo źle.

- Na litość boską, nie pracuję dla nikogo! I nic nie wiem o żadnych kobietach.

- Nie pogarszaj swej sytuacji - poradził mu Fryer z fałszywą troską,

- Mówię prawdę.

- Chyba facet chce oberwać - rzekł Fryer. Chandaman roześmiał się bez wesołości. -

O to ci chodzi?

- Podaj tylko kilka nazwisk - powiedział Garvey - bo inaczej połamiemy ci nogi.

Groźba ta, choć tak jednoznaczna, nie rozjaśniła Jerry'emu umysłu. Nie widział innego wyjścia, jak nadal upierać się przy swej niewinności. Jeśli wymieni jakiegoś fikcyjnego mocodawcę, kłamstwo zostanie wykryte w ciągu kilku chwil, a za usiłowanie wprowadzenia w błąd konsekwencje mogą być jak najgorsze.

- Sprawdźcie mnie - powiedział błagalnie. - Macie przecież możliwości. Popytajcie się. Nie jestem niczym człowiekiem, Garvey, i nigdy nie byłem.

Wzrok Garveya na chwilę opuścił twarz Jerry'ego i przesunął się na jego ramię. Jerry zrozumiał znaczenie tego znaku o ułamek sekundy za późno - nie zdążył przygotować się na cios w nerki zadany przez mężczyznę stojącego za nim. Runął do przodu, ale nim zderzył się z Garveyem, Chandaman schwycił go za kołnierz i odrzucił na ścianę. Jeny, zgięty w pół, nie potrafił myśleć o niczym prócz bólu. Jak przez mgłę znów usłyszał Garveya, który pytał, kto jest jego szefem. Potrząsnął głową. Czaszkę miał pełną łożysk kulkowych hurkoczących mu między uszami.

- Jezu... Jezu... - wystękał usiłując znaleźć jakieś słowo, które mogłoby powstrzymać dalsze ciosy, ale zanim mu się to udało, ustawiono go w pozycji pionowej. Padł na niego snop światła z latarki. Jeny wstydział się spływających mu po policzkach łez.

- Nazwiska - rzekł Garvey. Kulki wciąż się toczyły.

- Jeszcze raz - powiedział Garvey i Chandaman znów się zbliżył, żeby zrobić użytek ze swych pięści.

Gdy Jeny był już bliski utraty przytomności, Garvey odwołał zbira. Skórzana twarz cofnęła się.

- Wstań, kiedy do ciebie mówię - warknął Garvey. Jeny zamierzał go posłuchać, ale ciało odmówiło mu współpracy. Trzęsło się, chciało umrzeć.

- Wstawaj - powtórzył Fryer wchodząc między Coloqhouna a jego oprawcę, by szturchnięciem ponaglić leżącego. Teraz Jeny poczuł ten kwaśny zapach, który Carole zauważyła na schodach: była to woda kolońska Fryera. - Wstawaj! - mężczyzna nie dawał za wygraną,

Jeny uniósł niepewnie dłoń, by zasłonić oczy przed oślepiającym światłem. Nie widział żadnej z trzech twarzy, ale niejasno zdawał sobie sprawę, że Fryer niechcący blokuje Chandamanowi dostęp do niego. Garvey stał z prawej strony; właśnie zapalił zapalniczkę i podetknął płomyk pod cygaro. Nadeszła odpowiednia chwila: Garvey był zajęty, a bandzior nie miał swej ofiary w zasięgu ręki. Jeny to wykorzystał.

Zanurkował pod wiązką światła i poderwał się spod ściany, usiłując przy okazji wytrącić z ręki

Fryera latarkę. Upadła z trzaskiem na kafelki i zgasła.

Słaniając się na nogach, biegł w mroku ku wolności. Słyszał za sobą przekleństwa Garveya i hałas, z jakim zderzyli się Chandaman i Fryer, kiedy próbowali znaleźć latarkę.

Zwolnił i posuwał się wzdłuż ściany w głąb budynku. Drogę do drzwi frontowych zagradzali jego dręczyciele, zatem jedynym sposobem ucieczki było zgubienie się w labiryncie korytarzy.

Dotarł do rogu i skręcił na prawo, przypominając sobie jak przez mgłę, że tędy szło się z głównych korytarzy w plataninę przejść. Lanie, jakie oberwał, pozbawiło go tchu, mimo że zostało przerwane, zanim mogło wyrządzić mu prawdziwą krzywdę. Za każdym krokiem czuł w podbrzuszu i plecach ostry ból. Kiedy pośliznął się na wilgotnych kafelkach, o mało nie krzyknął.

Z tyłu znów było słyhać Garveya. Znaleziono latarkę. Jej światło skakało po labiryncie usiłując odszukać zbiega. Jerry szedł prędko dalej, zadowolony z nikłego oświetlenia, ale przecież uciekał od jego źródła. Nie miał wątpliwości, że tamci pójda za nim, i to szybko. Jeśli, jak mówiła Carole, korytarze tworzą zwykłą spiralę, zataczając nieubłaganą pętlę, z której nie ma wyjścia, jest zgubiony. Ale podjął już decyzję. Oszołomiony gorącym powietrzem, szedł dalej, modląc się o znalezienie wyjścia ewakuacyjnego, które pozwoliłoby mu wydostać się z tej pułapki.

- Poszedł tędy - zakomunikował Fryer. - Na pewno. Garvey skinął głową, Tego się spodziewał: Coloqhoun brnął w pograżony w mroku labirynt.

- Idziemy za nim? - spytał Chandaman. Aż się ślinił na myśl o dokończeniu swego dzieła. - Nie może być daleko.

- Nie - powiedział Garvey. Nic, nawet obietnica nadania tytułu szlacheckiego, nie skłoniłoby go do pójścia za Jerrym.

Fryer odszedł już parę kroków korytarzem, oświetlając latarką lśniące ściany.

- Ciepło - zauważył.

Garvey wiedział aż nadto dobrze, jak jest tu ciepło. Takie gorąco nie było normalne, w każdym razie nie w Anglii. To wyspa o umiarkowanym klimacie i dlatego nigdy z niej nie wyjeżdżał. Zabójcze gorąco innych kontynentów rodziło groteskowe zjawiska, których nie miał ochoty oglądać.

- Co robimy? - spytał Chandaman. - Czekamy, aż wyjdzie z ukrycia?

Garvey zastanowił się nad tym. Zaduch bijący z korytarza zaczynał go niepokoić.

Bulgotało mu w brzuchu i przechodziły go ciarki. Odruchowo przyłożył dłoń do krocza.

Męskość skurczyła mu się.

- Nie - rzekł nagle.

- Nie?

- Nie czekamy.

- Nie może tkwić tam bez końca.

- Powiedziałem: nie!

Nie przypuszczał, że to miejsce znów do tego stopnia wyprowadzi go z równowagi.

Chociaż był zły, że pozwala Coloqhounowi tak się wymknąć, wiedział, że jeśli zostanie tu jeszcze trochę, ryzykuje utratą panowania nad sobą,

- Wy dwaj możecie na niego poczekać w jego mieszkaniu - powiedział do Chandamana. - Prędzej czy później będzie musiał wrócić do domu.

- Cholerna szkoda - mruknął Fryer wyłaniając się z korytarza. -Lubię się ganiać.

Może i nie szli za nim. Upłynęło kilka minut, odkąd Jerry słyszał za sobą głosy. Serce przestało mu wściekle bić. Teraz, kiedy adrenalina nie przyśpieszała już jego kroków i nie łagodziła bólu posiniaczonego ciała, ledwo się włókł. Jego mięśnie protestowały nawet przeciwko temu.

Gdy ból był już nie do wytrzymania, Jerry osunął się po ścianie i usiadł zgarbiony, z nogami

wyciągniętymi w poprzek korytarza. Przemoczone deszczem ubranie przykleiło mu się do ciała. Było mu chłodno i zarazem dusił się. Rozluźnił krawat, a potem rozpiął marynarkę i koszulę. Poczł na skórze ciepłe powietrze labiryntu i ucieszył się z tego.

Zamknął oczy; chciał wprowadzić się w trans hipnotyczny, żeby uciec od bólu. Bo skąd się bierze czucie jak nie z zakończeń nerwowych? Znał sposób pozwalający odłączyć umysł od ciała i uwolnić się od cierpienia. Ledwo jednak opuścił powieki, usłyszał gdzieś w pobliżu jakieś stłumione dźwięki. Kroki, chwilowa cisza, głosy. To nie Garvey i jego ludzie -

głosy były kobiece. Jerry uniósł głowę - ciężką, jakby była z ołowiu - i otworzył oczy. Albo w ciągu tych kilku chwil medytacji przyzwyczaił się do ciemności, albo do korytarza wśliznęło się światło. To było jednak światło.

Wstał. Marynarka ciążyła mu, więc ją zrzucił i zostawił tam, gdzie przed chwilą siedział skulony. Następnie ruszył w kierunku światła. Przez ostatnich kilka minut temperatura znacznie wzrosła, aż miał od tego lekkie halucynacje: ściany jakby się przekrzywiły, a powietrze straciło przejrzystość, nasycone rozedrganą poświatą. Za rogiem skręcił. Światło pojaśniało. Jeszcze jeden róg - i wszedł do niewielkiego pomieszczenia wyłożonego kafelkami, tak gorącego, że aż mężczyźnie zaparło dech. W gęstniejącym z każdym uderzeniem pulsu powietrzu dyszał jak wyrzucona z wody ryba.

Naprzeciwno widoczne były drzwi. Wpadało przez nie bardzo jasne, żółtawe światło, ale Jerry nie potrafił zmusić się do zrobienia w jego kierunku ani jednego kroku, bo gorąco zupełnie go obezwładniło. Wyczuwając, że jest na granicy utraty przytomności, wyciągnął

rękę, aby się podeprzeć, ale dłoń obsunęła mu się po śliskich kafelkach i upadł, lądując na boku. Mimo woli krzyknął.

Jęcząc podciągnął nogi, lecz dalej leżał tam, gdzie się zwałił. Jeśli Garvey usłyszał jego krzyk i wysłał na poszukiwanie swych zbirów, to trudno - zubożętniał już na wszystko.

Z drugiej strony pomieszczenia dobiegł go jakiś odgłos, więc uniósł głowę na centymetr i uchylił powieki. W drzwiach pojawiła się naga dziewczyna, a przynajmniej tak mówiły mu jego rozregulowane zmysły. Jej skóra lśniła jak naoliwiona, a tu i ówdzie na piersiach i udach widniały smugi czegoś, co mogło być zakrzepłą krwią. Ale nie jej krwią -

błyszczącego ciała nie szpeciła żadna rana.

Dziewczyna zaczęła się z niego śmiać lekkim, swobodnym śmiechem, który wprowadził Jerry'ego w zakłopotanie, ale i oczarował śpiewnością. Wreszcie ruszyła w jego kierunku, ciągle się śmiejąc, i teraz zauważył, że za nią są inne. Kobiety, o których bredził Garvey, i pułapka, o zastawienie której oskarżył Jerry'ego.

- Kim jesteś? - wymamrotał, gdy dziewczyna do niego podeszła.

Przestała się śmiać ujrawszy wykrzywioną bólem twarz. Próbował usiąść, ale ręce miał zdrętwiałe i z powrotem osunął się na posadzkę. Kobieta nie odpowiedziała na jego pytanie ani nie zrobiła niczego, by mu pomóc. Tylko patrzyła na niego z nieprzeniknioną twarzą, jak przechodzień na pijaka w rynsztoku. Uniósłszy na nią wzrok Jerry poczuł, że traci z trudem zachowywaną przytomność. Gorąco, ból, a teraz owo piękne objawienie - to już było dla niego za dużo. Pozostałe kobiety rozplywały się w ciemności, a całe pomieszczenie składało się jak pudełko prestidigitatora - aż stojąca przed Jerrym wspinała istota całkowicie zawładnęła jego uwagą. Na milczące polecenie dziewczyny oczy jego duszy wyskoczyły mu z głowy i pomknęły ku niej: lśniące ciało było krajobrazem, każdy por jamą, a włos wieżą. Należał do niej całkowicie. Utopiła go w swych oczach i obdarła ze skóry rzesami.

Przetoczyła go sobie po brzuchu, a potem wzięła między pośladki, w sam środek gorąca, i wypuściła, gdy już myślał, że spłonie żywcem. Szybkość, z jaką się to działo, wprowadziła go w

zachwyty. Zdawał sobie sprawę, że gdzieś tam w dole jego ciało hiperwentyluje z przerażenia, ale wyobraźnia - nie dbając o zadyszkę - chętnie podążała wskazanym przez dziewczynę szlakiem, zataczając kręgi jak ptak. Wreszcie, oszołomiony i skonany, wrzucony został z powrotem do własnej czaszki. Zanim udało mu się przyłożyć kruche narzędzie rozumu do doświadczonych właśnie zjawisk, powieki mu opadły i stracił przytomność.

Ciało nie potrzebuje umysłu. Zawiaduje mnóstwem procesów napełnianiem i opróżnianiem płuc, pompowaniem krwi czy robieniem użytku z pokarmu - z których żaden nie wymaga myślenia. Dopiero gdy jeden z tych procesów zaczyna się, umysł uświadamia sobie złożoność zamieszkiwanego przez siebie mechanizmu.

Omdlenie Coloqhouna trwało zaledwie kilka minut, ale gdy mężczyzna odzyskał przytomność, odbierał swoje ciało tak, jak nigdy dotąd: było pułapką. Pułapkę stanowiła jego kruchość, jego kształt, rozmiar, nawet płeć. I nie było z niej ucieczki, męczył się skutą z tą lichotą, a właściwie w jej wnętrzu.

Myśli te przychodziły i odchodziły. Między nimi pojawiały się krajobrazy, w które wpadał na krótko. Były też chwile, kiedy dostrzegał świat na zewnątrz siebie.

Kobiety podniosły go. Głowa mu się chwiała, a włosy ciągnęły się po podłodze. W przebłytku świadomości pomyślał, że stanowi jakieś trofeum. Potem znów zapadła ciemność, ale jeszcze raz z trudem wydostał się na powierzchnię. Teraz niosły go wzdłuż krawędzi większego basenu. Nozdrza napełniły mu się zapachami rozkosznymi i smrodliwymi zarazem. Kątem leniwie poruszającego się oka widział, że woda jest tak jasna, iż pluskając o brzeg basenu, wydaje się płonać; widział też coś innego: poruszające się w tej jasności cienie.

Pomyślał: chcę mnie utopić. A potem: już się topię. Miał wrażenie, że woda wypełnia mu usta, a kształty dostrzeżone w basenie wdzierają mu się do gardła i wślizgują do brzucha. Nadał się, chcąc je zwymiotować.

Poczuł na twarzy czyjąś dłoń. Była cudownie chłodna.

- Ćśśś... - wyszeptał ktoś i od razu wszystkie zwiady znikły. Pod delikatnymi pieścotami Jerry otrząsnął się ze strachu i odzyskał przytomność.

Dłoń uciekła z jego czoła. Rozejrzał się w poszukiwaniu zbawcy, ale jego oczy nie powędrowały daleko. Po drugiej stronie mrocznego pomieszczenia, które wyglądało na wspólny prysznic, z kilku biegnących pod sufitem rur tryskały na kafelki łuki wody, odprowadzane następnie kanalikami. Pomieszczenie wypełniała delikatna mgiełka i szmer.

Jerry usiadł. Za strugami wody dostrzegł jakiś kształt - zbyt ogromny, aby był ludzki. Wyteżył wzrok, chcąc w zwałach ciała dopatrzeć się jakiegoś zarysu. Czy to zwierzę?

W powietrzu wisiał gryzący zapach, który przywodził na myśl menażerię.

Poruszając się z wielką ostrożnością, by nie zwrócić na siebie uwagi stworzenia. Jerry spróbował wstać. Jego nogi jednak nie podołały temu zadaniu. Mógł jedynie podpełznąć kawałek na rękach i kolanach i zajrzeć przez zasłonę wody. Sam wyglądał jak jakiś zwierz.

Został zauważony - leżące na podłodze ciemne stworzenie zwróciło ku niemu oczy.

Dostał gęsiej skórki, ale nie potrafił oderwać od niego wzroku. I właśnie wtedy gdy przymrużył powieki, by lepiej widzieć, na ogromnym cielsku pojawiła się iskra jasności, która wkrótce rozlała się drgającymi falami żółtego światła po całej masie, odkrywając wszystko przed Coloqhounem.

To była ona. Bez najmniejszej wątpliwości wiedział, że stworzenie jest płci żeńskiej, chociaż nie przypominało żadnego znanego mu rodzaju czy gatunku. W miarę jak kręgi jasności rozchodziły się po jej ciele, z każdym uderzeniem serca ukazywały się nowe nie-zwykłe zjawiska. Jerry'emu widok ten kojarzył się z jakąś roztopioną substancją - szkłem, może skałą - wtłaczaną w skomplikowane

formy i z powrotem wciągana do pieca. Ta dziwna istota nie miała ani głowy, ani kończyn jako takich, ale jej ciało pełne było skupisk jasnych pęcherzyków mogących być oczyma, a tu i ówdzie wyrzucała z siebie opalizujące wstęgi -

leniwe, pastelowe płomienie -które zdawały się podpalać powietrze.

Teraz stworzenie wydało serię cichych dźwięków: szmerów i westchnień. Zastanawiał się, czy do niego mówi, a jeśli tak, to jak ma odpowiedzieć. Usłyszawszy za sobą kroki, obejrzał się. To była jedna z tamtych kobiet. Popatrzył na nią pytająco.

- Nie bój się - powiedziała.

- Nie boję się - odparł.

To była prawda. Niezwykła istota robiła silne wrażenie, lecz nie wzbudzała w nim strachu.

- Czym ona jest? - spytał.

Kobieta stała tuż przy nim. Jej skóra, skąpana w migotliwym blasku bijącym od istoty, była złocista. Mimo okoliczności - a może z ich powodu - poczuł dreszcz pożądania.

- To Madonna. Matka Dziewica.

Matka? Jeny poruszył bezgłośnie ustami, odwracając głowę, by znów spojrzeć na istotę. Fale jasności przestały przebiegać po jej ciele. Teraz światło pulsowało tylko w jednym miejscu, w którym ciało Madonny nabrzmiewało i pękało w rytm tego pulsowania. Za sobą usłyszał Jerry kolejne kroki, a w pomieszczeniu zaczęły rozlegać się szepty, dźwięczny śmiech i oklaski.

Madonna rodziła. Nabrzmiałe ciało otwierało się; tryskało zeń płynne światło; pomieszczenie napełniło się zapachem dymu i krwi. Któraś z dziewcząt krzyknęła, jakby odczuwała poród razem z Madonną. Oklaski przybrały na sile i nagle szczelina skurczyła się, by wyrzucić z siebie na kafelki dziecko - coś między kałamarnicą a ostrzyżonym jagnięciem.

Pod strumieniami wody natychmiast ożywiło się i odrzuciło w tył głowę, by się rozejrzeć.

Jego pojedyncze oko było ogromne i doskonale przejrzyste. Przez kilka chwil dziecko wiło się na kafelkach. Dziewczyna stojąca obok Jerry'ego weszła pod zasłonę wody i podniosła je. Bezzębne usta od razu zaczęły szukać jej piersi. Dziewczyna włożyła w nie sutek.

- Nieludzkie stworzenie... - mruknął Jerry. Zaskoczyło go, że dziecko tak dziwne jest jednocześnie istotą wyraźnie inteligentną -Czy wszystkie... czy wszystkie one są takie?

Matka zastępcza spojrzała na żywy worek w swych ramionach.

- Każde z nich jest inne - odparła. - Karmimy je. Niektóre umierają. Pozostałe żyją i idą swoją drogą

- Dokąd, na litość boską?

- Do wody. Do morza. W sny.

Powiedziała coś do dziecka pieszczotliwie. Pokryta rowkami, pulsująca światłem kończyna zamachała z zadowoleniem w powietrzu.

-A ojciec?

- Ona nie potrzebuje męża - nadeszła odpowiedź. - Gdyby chciała, mogłaby mieć dzieci z deszczem.

Jerry spojrział ponownie na Madonnę. Wygasło w niej prawie całe światło. Ogromne ciało wyrzuciło wstęgę szafranowego płomienia, którego blask odbił się w kaskadzie wody i rzucił na ścianę tańczące cienie. A potem znieruchomiało. Gdy Jerry obejrzał się na przybraną matkę i dziecko, obojga już nie było. Wszystkie kobiety wyszły, oprócz jednej -

dziewczyny, która pokazała mu się pierwsza. Uśmiechając się tak jak wtedy, siedziała pod przeciwległą ścianą z rozrzuconymi nogami. Spojrział między nie, a potem z powrotem na jej twarz.

- Czego się boisz? - spytała.

- Nie boję się.

- To dlaczego do mnie nie podchodzisz?

Wstał i podszedł do niej zostawiając za plecami strugi wody, które przesłaniały sylwetkę pomrukującej Madonny. Jej obecność nie onieśmielała go. Ta istota z pewnością nie zwracała uwagi na takich jak on. Jeżeli w ogóle go widziała, to na pewno wydawał jej się śmieszny. Jezu! był śmieszny nawet dla samego siebie. Nie miał do stracenia ani nadziei, ani godności.

Jutro wszystko to będzie snem: woda, dzieci, piękność, która właśnie teraz wstała, by go objąć. Jutro będzie myślał, że umarł na jeden dzień i odwiedził prysznice dla aniołów. A teraz wykorzysta sposobność.

Gdy skończyli się kochać, on i uśmiechająca się dziewczyna, próbował przypomnieć sobie jakieś szczegóły, ale nie miał nawet pewności, czy się spisał. Zostało mu tylko niejasne wspomnienie, i to nie jej pocałunków czy samego zespolenia, tylko strużki mleka spływającego z jej piersi i tego, jak mruczała: „Nigdy... nigdy...”, gdy się spleli. Kiedy było po wszystkim, zmieniła się; bez słowa, bez uśmiechu zostawiła go samego w mżawce. Zapiął

zabrudzone spodnie i zostawił Madonnę jej płodności.

Krótkim korytarzem doszedł do hali większego basenu. Woda przelewała się - tak jak wtedy, gdy niesiono go tędy przed oblicze Madonny. Jej dzieci o rozmaitych kształtach bawiły się w świetlistej wodzie. Kobiet nigdzie nie było widać, ale drzwi prowadzące do zewnętrznego korytarza stały otworem. Przeszedł przez nie, a gdy zrobił pięć kroków, zasunęły się za nim.

Teraz, poniewczasie, Ezra Garvey wiedział, że powrót do budynku Basenów (mimo że miał tam kogoś zastraszyć, co zwykle sprawiało mu przyjemność), był błędem. Rozdrapał

bowiem ranę, która - jak sądził - była bliska wygojenia; powróciło wspomnienie o jego drugiej tam wizycie, o kobietach i o tym, co mu pokazały. Usiłował wyjaśnić owe zdarzenia, dopóki nie zaczął pojmować prawdziwej ich natury. Kobiety dały mu jakiś narkotyk (prawda?), a potem, kiedy był słaby i stracił wszelkie poczucie przyzwoitości, wykorzystały go dla własnej rozrywki. Karmiły go piersią jak dziecko i zrobiły sobie z niego zabawkę. Te wspomnienia jedynie Garveya zdumiewały, ale były też inne, przerażające - o jakimś pomieszczeniu, o wodzie spadającej zasłoną, o straszliwej ciemności i o jeszcze straszliwszej światłości.

Wiedział, że nadszedł czas, by wypłenić te sny i otrząsnąć się z oszołomienia. Był

człowiekiem, który nie zapominał ani wyświadczonych przez siebie, ani otrzymanych przysług. Wieczorem, około jedenastej, odbył dwie rozmowy telefoniczne, przypominając pewnym ludziom o pewnych zobowiązaniach. Cokolwiek kryło się w Basenach przy Leopold Road, długo już tam nie pożyje. Zadowolony z nocnych manewrów, Garvey poszedł do łóżka.

Po powrocie ze spotkania z Coloqhounem zmarznięty i niespokojny wypił prawie całą butelkę sznapsa. Teraz alkohol uderzył mu do głowy, więc Garvey postanowił, że - nie zdejmując ubrania - położy się na kilka minut, aby odzyskać jasność zmysłów. Kiedy się obudził, było już jednak wpół do drugiej w nocy.

Usiadł. Brzuch mu znowu się buntował, właściwie całe ciało miał obolałe. W ciągu ponad czterdziestu lat swego życia rzadko był chory, bo sukces nie dopuszczał do niego dolegliwości. Teraz jednak czuł się okropnie. Głowa pulsowała mu prawie oślepiającym bólem - z sypialni do kuchni szedł posługując się bardziej dotykiem niż wzrokiem. Nalał

sobie mleka i usiadł przy stole, by je wypić. Nie wypił. Jego wzrok padł na rękę trzymającą, szklanekę. Patrzył na nią przez mgłę bólu. Nie wyglądała jak jego ręka: była zbyt delikatna, zbyt gładka. Odstawił szklanekę, ale przewróciła się, a mleko rozlało się na tekowym blacie i spłynęło na podłogę.

Wstał. Dźwięk mleka ciekącego na kafelki podłogi w kuchni budził w nim dziwne myśli. Poszedł niepewnym krokiem do gabinetu. Potrzebował czyjegось towarzystwa, obojętnie czyjego. Wziął notes z telefonami i usiłował coś zrozumieć z zapisków, ale numery nie chciały zrobić się wyraźne. Ogarniała go coraz większa panika. Czy to szaleństwo? Czy złudzeniem jest to, co dzieje się z jego ciałem? Sięgnął ręką do torsu, żeby rozpiąć koszulę, i musnął jeszcze jedno złudzenie, bardziej absurdalne od pierwszego. Rozrywając materiał

ciągle sobie powtarzał, że to wszystko jest niemożliwe.

Dowody jednak były wyraźne. Dotykał ciała, które już nie było jego ciałem. Istniały jeszcze ślady, że skóra i kości należały do niego - blizna po wyrostku na podbrzuszu, znamię pod pachą - ale esencja jego ciała została zmieniona (zmiany zachodziły na jego oczach nadal) i oblekła się w formy przyprowadzające go o wstyd. Darł paznokciami kształty, które przeobrażały jego tors, jakby mogły rozplątać się pod jego palcami - ale tylko zaczęły krwawić.

W swoim czasie Ezra Garvey wiele wycierpiał, a prawie wszystkie cierpienia sam na siebie sprowadził. Kilka razy siedział w więzieniu, o mało co nie otrzymał poważnej rany, znosił szachrajstwa pięknych kobiet. Lecz tamte męki były niczym w porównaniu z obecną udręką Nie jest sobą! Kiedy spał, zabrano mu ciało i podrzucono tego odmieńca. Potworność owego czynu godziła w jego miłość własną i zachwiała jego zdrowiem psychicznym.

Nie mogąc powstrzymać łez, zaczął szarpać pasek spodni. „Proszę, Boże - mamrotał - proszę. Boże, spraw, abym nadal był cały.” Ledwie widział przez łzy. Wytarł je i popatrzył na swe krocze. Spostrzegając zachodzące deformacje ryknął, aż zadrżały szyby.

Garvey nie był człowiekiem posługującym się wykrętami. Uważał, że czynom nie najlepiej służy debata. Nie wiedział, jak ten traktat o transformacji został wpisany w jego organizm i niewiele go to obchodziło. Myślał tylko, ile razy umrze ze wstydu, jeśli ten ohydny stan ujrzy światło dzienne. Wrócił do kuchni, wyjął z szuflady duży nóż do mięsa, poprawił ubranie i wyszedł z domu.

Łzy mu obeschły. Poszłyby na mamę, a Garvey nie znosił marnotrawstwa. Pojechał przez opustoszałe miasto nad rzekę, do Blackfriars Bridge. Zaparkował i zszedł na brzeg. Tej nocy wody Tamizy były wysokie i wartkie, a wiatr pokrywał czubki fal bielą. Dopiero teraz, gdy zaszedł tak daleko, nie analizując zbyt dokładnie swych zamiarów, poczuł, że daje o sobie znać strach przed śmiercią. Był bogatym i wpływowym człowiekiem -

czy z tej ciężkiej próby nie znalazłoby się inne wyjście niż to, na które tak pochopnie się zdecydował? Są przecież pigularze, którzy mogliby odwrócić szaleństwo, jakie zawładnęło komórkami jego ciała, są chirurdzy, którzy mogliby odciąć gorszące organy i na powrót zszyć jego rozdartą na strzepy osobowość. Ale na jak długo wystarczą takie rozwiązania?

Wiedział, że prędzej czy później proces zacznie się na nowo. Nie ma już dla niego ratunku.

Powiew wiatru zdmuchnął z wody pianę. Zmoczyła mu twarz, co ostatecznie przełamało pieczęć jego niepamięci. W końcu przypomniał sobie wszystko: pomieszczenie z prysznicami, strugi z obciętych rur bijące w podłogę, upał, roześmiane, klaszczące kobiety. I to coś, co żyło za wodną zasłoną, istotę gorszą od najobrzydliwszego koszmaru, jaki wydobył ze swych zakamarków jego zbolęły umysł. Pieprzył się tam, w obecności tego potwora, i w szale aktu, kiedy na chwilę się zapomniał, te suki mu to zrobiły. Nie ma miejsca na żal. Co się stało, to się nie odstanie. Przynajmniej podjął kroki zmierzające do zniszczenia ich nory. A teraz, przeprowadzając operację na samym sobie, zniweczy efekty ich magii, pozbawi je widoku ich dzieła.

Wiatr był zimny, za to krew Garveya buchała gorącem, gdy kaleczył swe ciało.

Tamiza przyjęła tę ofiarę z entuzjazmem. Wirując omywała mężczyźnie stopy. Nim skończył,

pokonała go utrata krwi. Nieważne - pomyślał, gdy ugięły się pod nim kolana i padał do wody

- teraz nikt już mnie nie pozna oprócz ryb. Gdy rzeka zamykała się nad nim, pragnął tylko, żeby śmierć nie okazała się kobietą,

Na długo zanim Garvey obudził się w nocy i odkrył bunt swego ciała, Jerry wyszedł z Basenów i wsiadł do samochodu z zamiarem powrotu do domu. Nie był jednak w stanie prowadzić. Oczy mu łzawiły, stracił poczucie kierunku. Kiedy ledwo uniknął wypadku, zaparkował samochód i poszedł piechotą. Jego wspomnienia o tym, co mu się przytrafiło, wcale nie były jasne, choć od tych wydarzeń upłynęło zaledwie kilka godzin. Przed oczami stawały mu dziwne obrazy. Poruszał się w materialnym świecie, ale na wpół śnił. Do rzeczywistości przywrócił go widok Chandamana i Fryera siedzących w jego sypialni. Nie czekał, aż go przywitają, tylko odwrócił się i uciekł. Pochłonęli cały jego zapas alkoholu, więc reagowali dość powoli. Zanim podjęli pościg, zbiegł już ze schodów i wypadł z budynku.

Poszedł do Carole, ale nie było jej w domu. Nie miał nic przeciwko czekaniu. Pół godziny przesiedział na schodkach pod frontowymi drzwiami, a kiedy zjawił się lokator mieszkania na ostatnim piętrze, Jerry'emu udało się go przekonać, żeby go wpuścił do środka. Tam też usiadł na schodach. Zapadłszy w drzemkę cofnął się trasą, którą przyszedł -

aż do skrzyżowania, gdzie zostawił samochód. Ciągnął tamtędy tłum ludzi. „Dokąd idziecie?” - zapytał. „Obejrzeć jachty” - odpowiedzieli. „Co to za jachty?” - znów zadał pytanie, ale oni już się oddalali trajkocząc. Ruszył więc w swoją stronę. Niebo było ciemne, ale ulice i tak oświetlał błękitny blask nie rzucający cieni. Parę kroków od budynku Basenów Jerry usłyszał

jakiś plusk; skręciwszy za róg stwierdził, że po Leopold Road nadciąga ogromna fala. „Co to za morze?” - zapytał mewy polatujące nad głową, bo słony zapach w powietrzu mówił mu, że to wody oceanu, nie rzeki. „A czy to ma znaczenie?” - odpowiedziały mewy. „Czyż wszystkie morza nie są ostatecznie jednym morzem?” Stał i patrzył na falki pełzające po asfalcie.

Chociaż poruszały się powoli, wywracały latarnie i tak szybko podmywały fundamenty budynków, że te waliły się jeden po drugim w milczeniu. Wkrótce lodowate fale dotarły i do jego stóp. W wodzie pomykały ryby jak maleńkie odpryski srebra.

- Jerry? - Na schodach stała Carole i patrzyła na niego. - Co ci się, u diabła, stało?

- Mogłem utonąć - odrzekł.

Powiedział jej o pułapce zastawionej przez Garveya przy Leopold Road i o tym, jak go pobito, a potem o zasadzce w jego domu. Carole okazała mu chłodne współczucie. Nic nie mówił o pościgu w spirali, kobietach i tym czymś, co widział w pomieszczeniu z prysznicami. Nie potrafiłby o tym opowiedzieć, nawet gdyby chciał: z każdą godziną upływającą od opuszczenia Basenów był coraz mniej pewny, czy w ogóle coś widział.

- Chcesz tu zostać? - odezwała się, kiedy skończył.

- Myślałem, że już nie zapytasz.

- Lepiej się wykup. Jesteś pewien, że nic ci nie złamali?

- Chyba bym już czuł, gdyby tak było.

Może i nie miał nic złamanego, ale też nie wyszedł bez szwanku: był obolały od stóp do głów, a jego tors przedstawiał szachownicę dojrzewających siniaków. Gdy po półgodzinnym moczeniu się w wodzie wyszedł z wanny i przyjrzał się sobie w lustrze, stwierdził, że całe ciało ma obrzmiałe, a skórę na piersiach wrażliwą na dotyk i napiętą. Widok nie był przyjemny.

- Jutro musisz iść na policję - powiedziała później Carole, gdy leżeli obok siebie. - I kazać aresztować tego drania Garveya.

- Chyba tak...

Pochyliła się nad nim. Twarz miał obojętną ze zmęczenia. Pocałowała go delikatnie.

- Chciałabym cię kochać. - Kiedy to mówiła, nie patrzył na nią, - Dlaczego tak to utrudniasz?

- Ja?

Powieki mu opadały. Chciała wsunąć dłoń pod płaszcz kąpielowy, który nadal miał na sobie - nigdy nie mogła pojąć tej wstydlivosti, ale niezmiennie była nią oczarowana - i popieścić go. Lecz pozycja, w jakiej leżał, sygnalizowała, że Jerry chce, aby go zostawić w spokoju. Carole uszanowała to życzenie.

- Zgaszę światło - rzekła, ale on już spał.

Odpływ nie obszedł się z Ezrą Garveyem łagodnie. Fala uniosła jego ciało i przez chwilę ciskała nim to tu, to tam, bawiąc się jak najedzony biesiadnik bawi się jedzeniem, na które nie ma apetytu. Porwała trupa milę w dół rzeki, a potem się nim znudziła. Prąd zniósł

go na spokojniejszą wodę pod brzegiem i tam - na wysokości Battersea - ciało uwięzło na zwisającej cumie. Fala odeszła z odpływem do morza - Garvey nie. Zwisał z liny, a opadająca woda ukazywała światowi jego pozbawione krwi zwłoki cal po calu. Zanim wybiła ósma, miał większą widownię niż tylko sam ranek.

Jerry'ego obudził dźwięk wody puszczanej z prysznicą w przylegającej do pokoju łazience. Zasłony w sypialni nadal były zaciągnięte. Do miejsca, gdzie leżał, przebijała się tylko cienka smuzka światła. Przekręcił się, żeby zanurzyć głowę w poduszkę, gdzie światło nie mogło mu przeszkodzić, ale jego umysł, raz pobudzony, zaczął pracować. Jeny wiedział, że ma przed sobą trudny dzień, w którym będzie musiał jakoś opowiedzieć policji o ostatnich wydarzeniach. Padną pytania i niektóre z nich mogą się okazać niewygodne. Im szybciej przemyśli swoją opowieść, tym będzie spójniejsza. Przewrócił się i odrzucił koc.

Kiedy spojrzał w dół na siebie, jego pierwszą myślą było to, że nie obudził się jeszcze w pełni, ale twarz ma nadal wtuloną w poduszkę i przebudzenie tylko mu się śni. Sądził, że śniło mu się również ciało, które zamieszkiwał - z pojawiającymi się piersiami i miękkim brzuchem. Nie jego ciało, bo należące do innej płci.

Próbował się obudzić, ale to nic nie dawało. Ta zmieniona anatomia należała do niego - jego było rozcięcie, gładkość, dziwna waga. W ciągu godzin, jakie upłynęły od północy, został spruty i uszty na nowo.

Szum prysznicą dobiegający zza drzwi przywiódł mu na myśl Madonnę. A także kobietę, która zwabiła go w siebie i szeptała, gdy zmarszczony zadawał pchnięcia: „Nigdy...

nigdy..." Jej słowa oznaczały - chociaż wtedy nie mógł tego wiedzieć - że ostatni raz kopułował jako mężczyzna. Ona i Madonna uknuły spisek, żeby spowodować w nim tę przemianę. Czyż nie było to podsumowanie klęsk jego życia?! Nie dane mu było nawet zachować własnej płci; męskość, podobnie jak bogactwo i wpływy, została mu obiecana, a potem sprzątnięta sprzed nosa.

Wstał z łóżka odwracając dłonie, by podziwiać ich nową delikatność, wodząc nimi po swych piersiach. Nie bał się ani nie cieszył. Zaakceptował *fait accompli*, jak dziecko akceptuje swoją sytuację, nie rozumiejąc, jakie to Sprowadzi na niego dobro czy też zło.

Może tam, skąd się wzięło to ciało, istniały jeszcze inne czary. Jeśli tak, wróci do Basenów i sam je odnajdzie. Pójdzie spiralą do samego gorącego jądra i porozmawia z Madonną o tajemnicach. Są na świecie cuda! Są siły zdolne wyrzucić ciało na wylot bez śladu krwi, potrafiące obalić tyranię rzeczywistości i bawić się w jej ruinach.

Woda nadal szumiała. Podeszedł do lekko uchylonych drzwi łazienki i zajrzał do środka. Carole nie stała pod prysznicem. Siedziała na krawędzi wanny z rękoma przyciśniętymi do twarzy. Usłyszała go. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Nie podniosła oczu.

- Zobaczyłam... - odezwała się. Głos miała gardłowy, brzmiący ledwo powstrzymywaną odrazą,

- Czyja wariuję?

-Nie.

- No to co się dzieje?

- Nie wiem - odparł po prostu. - Czy to takie straszne?

- Obrzydliwe - rzekła. - Ohydne. Nie chcę na ciebie patrzeć. Słyszysz? Nie chcę widzieć.

Nie usiłował się z nią sprzeczać. Nie chciała go znać i miała do tego prawo.

Wśliznął się do sypialni, ubrał się w swe nieświeże, brudne ubranie i wrócił do Basenów.

Szedł nie budząc zainteresowania. Jeśli nawet ktoś zauważył w tym przechodniu coś dziwnego - różnicę między ubraniem i okrywanym przez nie ciałem - to spoglądał w drugą stronę, nie chcąc się nad tym zastanawiać o tak wczesnej porze.

Gdy dotarł na miejsce, przy schodach stało kilku mężczyzn. Rozmawiali, chociaż tego nie wiedział, o mającym wkrótce nastąpić wyburzeniu budynku. Jerry zaczekał w sklepie po przeciwnej stronie ulicy, aż trójka mężczyzn odejdzie - a potem zbliżył się do drzwi. Bał się, że mogli zmienić zamek, ale nie.

Nie wziął ze sobą latarki; zanurzając się w labirynt zaufał swemu instynktowi - a on go nie opuścił. Po paru minutach poszukiwań w ciemnych korytarzach Jerry potknął się o marynarkę, którą zrzucił poprzedniego dnia, a jakiś czas później dotarł do pomieszczenia, gdzie znalazła go roześmiana dziewczyna. Zobaczył, że z basenu dochodzi nikły blask światła dziennego. Po jasności, która go tu przedtem przywiodła, zostały resztki przebłysków.

Woda nadal się przelewała, ale prawie całe jej światło zgasło. Przyjrzał się mętnawej toni: żadnego ruchu pod powierzchnią Odeszły. Matki i dzieci. I - niewątpliwie - Madonna.

Udał się do pomieszczenia z prysznicami. Rzeczywiście odeszła. Co więcej, wszystko tu zniszczyła, jakby w napadzie rozgoryczenia. Kafelki zostały wyrwane ze ścian, rury stopiły się w jej gorącu. Tu i ówdzie widział plamy krwi.

Wrócił do hali basenu, zastanawiając się, czy to on wypłoszył mieszkanki tej prowizorycznej świątyni. Tak czy owak, czarownice odeszły, a on, ich dzieło, sam miał dawać sobie radę, nie poznawszy ich tajemnic.

Zrozpaczony chodził wzdłuż brzegu. Powierzchnia wody nie była zupełnie spokojna: zbudził się w niej krąg zmarszczek, rozszerzający się z każdym uderzeniem serca. Jeny nie odrywał wzroku od nabierającego mocy wiru, który ogarniał sobą cały basen. Poziom wody zaczął nagle opadać: w dnie otworzyła się jakaś kłapa i tamtędy odpływała kipiela. Czy tamtędy też uciekła Madonna? Pobiegnął na drugi koniec basenu i przyjrzał się kafelkom. Tak!

Gdy wypełzła ze swej kaplicy, by schronić się w basenie, zostawiła za sobą smugę jakiejś cieczy. A jeśli udała się tam ona, to czy nie poszły za nią wszystkie kobiety?

Nie miał pojęcia, dokąd odpływa woda. Może do kanalizacji, potem do rzeki i w końcu do morza. Ku śmierci przez utonięcie, ku zagładzie magii. Albo może jakimś tajemnym kanałem do ziemi, do jakiegoś sanktuarium ukrytego przed ciekawością ludzi, gdzie ekstaza nie jest zakazana.

Woda burzyła się, wir był spieniony; Jeny zwrócił uwagę na jego kształt. Oczywiście - spirala. Teraz woda opadała bardzo szybko, a plusk zmienił się w ryk. Wkrótce już jej nie będzie, a drzwi do innego świata zatrzasną się i - znikną. Nie miał wyboru: skoczył. Wir porwał go natychmiast. Ledwo Jerry zdążył zaczerpnąć oddechu, został wessany pod powierzchnię. Rzuciło nim o dno basenu, a potem wywinął

kozła, nieubłaganie zbliżając się do wylotu. Otworzył oczy. W tej właśnie chwili prąd pociągnął go do krawędzi - i poza nią, Ciałem zawładnął strumień, rzucając nim wściekle we wszystkie strony.

Przed sobą widział Jerry światło. Nie potrafił określić, jak daleko się ono znajduje, ale jakież to miało znaczenie? Jeśli utonie, zanim do niego dotrze, i skończy podróż martwy, to co z tego? Śmierć nie była bliższa spełnienia niż marzenie o męskości, którym żył tyle lat.

Żadne słowa nie oddałyby jego doznań. Dzień był pogodny - prawda? - i chyba pełen gwiazd. Światło rosło i rosło, a tymczasem Jeny otworzył usta i wykrzyknął w wir przekleństwo ku chwale paradoksu.